

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. | Kraków, 5 lipca 1913. | Nr. 27.

Wojna pomiędzy sprzymierzeńcami.



Wojna pomiędzy sprzymierzeńcami.

(Do illustracyi tytułowej).

Zdaje się, że Bałkan nigdy się nie uspokoi, zaledwie bowiem przestały grać armaty pod Czataldżą i Skutari, znowu rozlegają się strzały, tym razem bardziej niebezpieczne, bo bratobójcze. Państwa Związku bałkańskiego, mając już zapewniony pokój z Turcyą, przystąpiły do podziału zdobyczy. I oto stanęły naprzeciw siebie jak wilcy, drąc się o skórę barana. Układ zawarty przed wojną turecką nie brał w rachubę tak wielkich zdobyczy terytoryalnych, ani tak długo trwającej wojny. To też granice podziału zdobyczy były zupełnie inne. Obecnie po wojnie Grecya i Serbia domagają się rewizyi traktatu oraz przyznania im znacznie większych obszarów zdobytych, niż według traktatu wypadało.

Bułgarya oparła się temu żądaniu, a wynik kłótni jest ten, że wszystkie trzy państwa, zmobilizowawszy swe armie, rozpoczęły już wzajemny porachunek. Bez wypowiedzenia wojny przyszło już do krwawych walk pomiędzy wojskami serbskimi i bułgarskimi.

Zamęt ogólny powiększył jeszcze fakt, że i Rumunia i Turcya oświadczyły, że nie będą obojętnie się przypatrywały, gdy trzej sprzymierzeńcy rozpoczną walkę orężną pomiędzy sobą. Rumunia przytem zażądała odstąpienia kawałka bułgarskiego obszaru i zagroziła, że na wypadek wojny stanie po stronie Serbii. Bułgarya wzięta we trzy ognie, znalazła się w sytuacyi bardzo trudnej.

Dawni sprzymierzeńcy, rozgromiwszy Turcyę, chwycili znów za broń, ale tym razem przeciw sobie. Tytułowa nasza illustracya przedstawia tę wojnę pomiędzy sprzymierzeńcami — krwawą utarczkę Bułgarów z Serbami.



Prezydent Francyi w Londynie: Przedstawiciele miasta wręczają Poincaremu adres.

Prezydent Francyi w Londynie.

Polityka europejska wymaga, aby w ważnych chwilach kierownicy państw porozumiewali się między sobą osobiście. Wizyty takie, składane bardzo oficyalnie i z całym aparatem dyplomatycznym, mają bądź wskazywać, że spokój europejski trwa niezachwianie, bądź też tworzą wyraz *entente cordiale* sąsiadów lub przyjaciół politycznych. Dowodem utrwalenia sąsiedzkich stosunków była niedawno wizyta cesarza Mikołaja w Niemczech. W ślad za nią idzie obecnie wizyta prezydenta Francyi Poincarego w Londynie.

Sytuacya bałkańska wymagała tego, aby Anglia i Francya zaznaczyły, że idą zgodnie i bez zastrzeżeń ręka w rękę. Wymagały tego interesy obu



Prezydent Francyi w Londynie: Wjazd prezydenta Poincarego do Londynu.

państw na Bałkanie. To też wizyta obecna ma nadać stanowisku obu mocarstw wrażenie jedności i zgodności. Układ francusko-angielski, który zawarto po znanych zajściach między Francyą a Niemcami, znalazł dzisiaj wzmożenie swej siły. A o to właśnie politykom obu państw głównie chodziło.

Prezydenta Poincarego witano owacyjnie. Na dworcu oczekiwał go król Jerzy, premier Asquith, sekretarz stanu Grey. W towarzystwie Poincarego przybył także minister spraw zagranicznych Pichon.

Wśród owacyi udali się goście do pałacu św. Jerzego a potem do pałacu Bukingham. Wieczorem król angielski wydał bankiet na cześć prezydenta, w czasie którego obaj władcy wygłosili polityczne

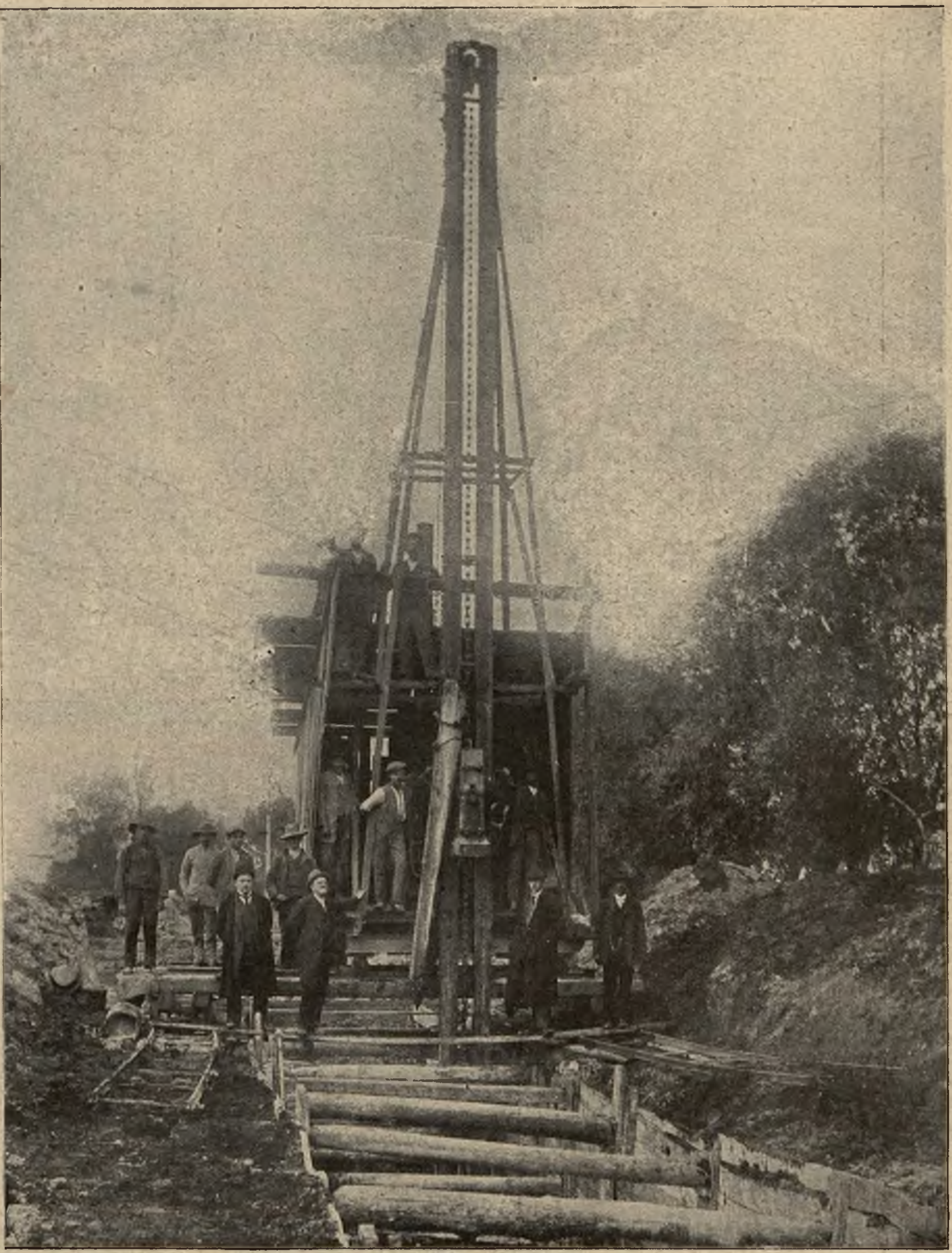


Sztuka w szkole: Prace rysukowe uczenic Liceum p. Kaplińskiej w Krakowie.

mowy. Obaj wspomnieli o zwartem współdziałaniu obu narodów w interesie pokoju i zaznaczyli, że obaj będą pracowali usilnie nad tem, aby harmonia wielkich mocarstw nie została zakłócona.

W ten sposób *entente cordiale* obu mocarstw otrzymało nowe podkreślenie i dobitniejszy akcent w koncercie europejskim. Skutki tej wizyty okażą się w polityce europejskiej dopiero za kilka tygodni. Już dzisiaj przebąkują, że Poincare przywiózł do Francyi nową umowę o doniosłem politycznem znaczeniu.

Podajemy szereg illustracyi z przyjęć londyńskich.



Regulacya Pełtwi: Budowa kollektora głównego dla kanalizacyi miasta Lwowa.



Regulacya Pełtwi: Betoniarka parowa przy budowie kolektora we Lwowie.



Sztuka w szkole: Wystawa prac malarskich i rysunkowych w Liceum p. Kaplińskiej w Krakowie.
(Do artykułu na str. 9).

Regulacya Pełtwi.

Od kilku lat przeprowadza krajowe biuro meljoracyjne roboty koło zabudowania Pełtwi, które dla rozwoju m. Lwowa i wiosek nad Pełtwią położonych będą miały niesłychanie ważne znaczenie. Do dziś dnia stosunki panujące we Lwowie jakoteż i w wioskach poniżej leżących z powodu zanieczyszczenie Pełtwi wodami kanałowemi są nie do zniesienia. Udowodniono, że śmiertelność, zwłaszcza w gminach podmiejskich, z roku na rok procentowo wzrasta, a to ze względu na te nieznośne stosunki zdrowotne, które zanieczyszczona, otwarta i nieuregulowana Pełtew sprowadza.

Aby temu zapobiedz, przeprowadza się obecnie budowę kollektora głównego dla całej kanalizacyi m. Lwowa około trzy kilometry długiego, mającego odprowadzić wodę zużytą do oczyszczalni mechanicznej, gdzie przez użycie odpowiednich zabiegów mechanicznych wody kanałowe się oczyści, a następnie rozprowadzi się je po dolinie Pełtwi celem jej nawodnienia. Taki będzie proceder w warunkach normalnych. W czasie deszczów i nawałnic kollektor główny się zamknie odpowiednimi zasuwami, a wodę skieruje się do otwartego nowego, obecnie również będącego w budowie koryta Pełtwi, t. zw. burzowego. Woda bowiem burzowa, rozcieńczającą w silnym stopniu wody kanałowe, nie będzie miała tych własności trujących, które posiada normalna woda Pełtwi.

Stare koryto Pełtwi będzie po wykonaniu obecnych robót zasypane. Koszt budowy kollektora i nowego koryta Pełtwi obliczony na kilkanaście milionów koron, a koszt mechanicznej oczyszczalni, mającej się budować w przyszłym roku, na pół miliona koron. Tak więc wkrótce Lwów uwolni się od tych nieznośnych, o pomstę do nieba wołających, a w żadnym kraju kulturalnym niemożliwych do ścierpienia stosunków zdrowotnych, które powoduje zanieczyszczanie Pełtwi wodami kanałowemi.

Roboty wykonywane są w przedsiębiorstwie firmy dra Gustawa Kadena, z ramienia której kieruje robotami inż. Jan Bryl. Z ramienia Wydziału krajowego, który roboty przeprowadza, kierownikiem jest inż. B. Benedyktowicz. Naczelne kierownictwo wszystkich robót, zarówno kanalizacyjnych w mieście, jak i na Pełtwi, spoczywa w rękach st. inż. Wydz. kraj., D. Howartha.



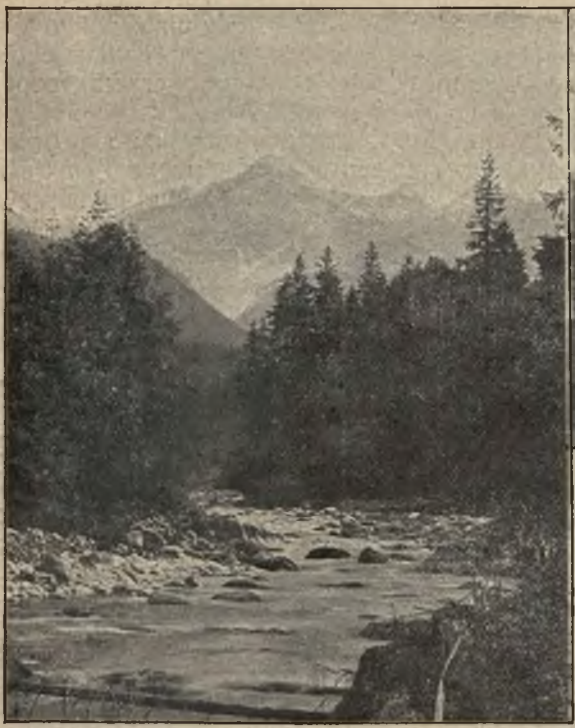
Sztuka w szkole: Wzory kilimów na wystawie Liceum p. Kaplińskiej w Krakowie.



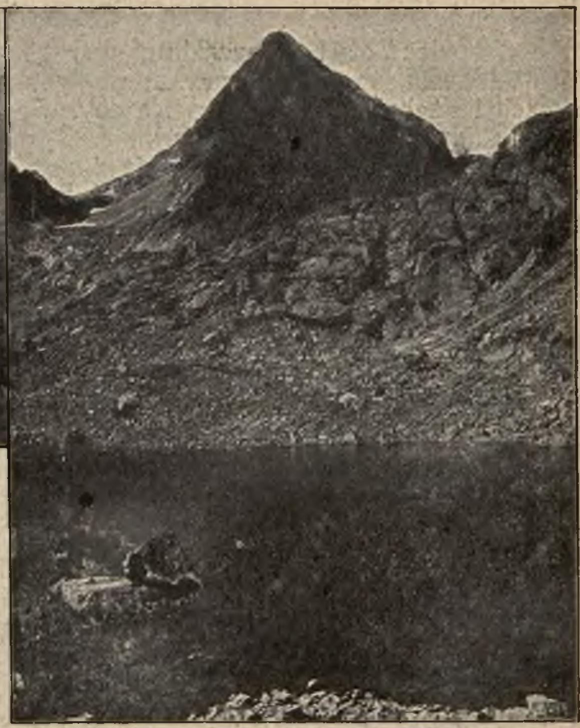
Prezydent Francyi w Londynie: Powitanie Poincarego z królem angielskim.



Jubileusz „Bratniej Pomocy" we Lwowie: Wydział „Bratniej Pomocy" Politechniki lwowskiej przed 50 laty. (Fot. M. Münz, Lwów).







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

19

Pani Wanda, która sobie przypomniała treść komedyi, rozumiała dobrze rozdrażnienie pani Mniewskiej, nazwanej kumoszką Wud i współczując z nią, powiedziała:

— Pani Wud, w komedyi, jest bardzo wesoła i dowcipna.

— Ta niech sobie będzie, jaka chce, — rzekła decydująco radczyni, — ale zawsze ona kumoszką i ja już dziękuję za taką przyjemność.

— I ja także, — powiedziała pani Mniewska, obrażona na panią Wandę za usprawiedliwianie żartu pana Jedlińskiego. Łatwo jej tak mówić, rozmyślała, gdy on ją nazwał „Julią“, ale inaczej sądziłaby, gdyby mówił o niej jako o „kumoszce“.

Główny winowajca, pan Jedliński, udawał, że nie słyszy tej rozmowy i spokojnie tłómaczył Madzi o jeździe na nartach.

Skończyła się kolacya i jak zwykle towarzystwo rozeszło się po salonie i gabinetach. Wspólność uczuć, nawet jasno nieokreślonych, stanowi prawie bezwiedny łącznik. Nic tedy dziwnego, że pani Mniewska i panie Poreckie usiadły w salonie obok siebie.

— Cóż pani taka milcząca? — spytała ze współczuciem pani Porecka, czuła bowiem zbliżającą się chwilę wynurzeń.

— Nic dziwnego, — odpowiedziała pani Mniewska, — pobyt w zakładzie stał się od pewnego czasu nietylko nudny, ale nieprzyjemny.

— Podzielam zdanie pani i gdyby nie wzgląd na zdrowie Madzi, byłabym już wyjechała. Wkradły się jakieś kwasy, jakieś niewłaściwe zwroty i słowa, coś, co musi razić osoby, nawykłe do towarzystwa.

— To, mamusiu, dysharmonia, że tak nazwę, — odezwała się Madzia, — przecież jeden ton fałszywy może zmącić całą melodyę.

— Jak ty mądrze to określiłaś! — zachwycała się matka, — nieprawdaż, kochana pani, — zwróciła się do pani Mniewskiej, — brak harmonii, otóż i cały powód zepsucia nastroju przyjemnego, który obowiązkowo powinien być w zakładzie.

— Sądzę, że nie jeden ton, — uśmiechnęła się ironicznie pani Mniewska, — ale jest ich co najmniej trzy, a może i więcej nawet.

— O tak!... Już to każdy przyzna, że o ile Podole, Galicya, Poznańskie, a nawet Litwa, posiadają pewien takt, o tyle Królestwo nie umie, że tak powiem, utrzymać miary.

— O! Pani jest bardzo delikatna w określaniu, — zaśmiała się pani Mniewska, — ja nazwałabym to inaczej. Tam, w Królestwie, ostatnia rewolucya rozluźniła wszystkie węzły.

— Powiedziałabym nietylko węzły, ale i względy... na dobre wychowanie, na takt właściwy... na obecność młodych panien... Czy zauważyła pani, jak wyzywająco zachowywała się w cukierni? Jak rzucała oczyma? Jak uśmiechała się?

— I dwa razy rzuciła chustkę na ziemię, — dorzuciła Madzia, — ażeby ją podnosił pan Jedliński.

— No, nie dlatego rzucała, — zaśmiała się Mniewska, — ażeby podnosił, lecz dla swych obcisłych bucików.

— Czyż to możliwe? — zdziwiła się Madzia.

— Moje dziecko, ty nie rozumiesz się jeszcze na przebiegłości i kokieteryi, — uśmiechnęła się matka, — tyś niewinna, ale bywają takie kobiety, bywają.

— Przecież i ja ją znam, — zawołała wesoło Madzia, — to pani Jerzycka. Ona ma właściwy sobie wdzięk, który podoba się mężczyznom.

— Niechże Bóg broni, ażebyś ty starała się o taki wdzięk... i jakie to niewinne dziecko, ona wdziękiem to nazywa.

— My, panno Madziu, ten wdzięk inaczej nazywamy, — zaśmiała się pani Mniewska, — to jest wyrafinowana kokieterya, która może zwodzić mężczyzn, ale nie nas.

Madzia uznała za stosowne i w dobrym tonie stanąć w obronie nieobecnej i rzekła z uśmiechem niedowierzającym:

— Pani zbyt surowa dla pani Jerzyckiej. Zdaje mi się, że u niej nie jest to kokieterya, lecz zwykła chęć podobania się. Prawda, że może czasem zadaleko posuwa tę chęć, ale cóż dziwnego? Ona młoda, lubi zabawę, mąż zostawił ją samą...

— Jaka ta Madzia szlachetna, — zachwycała się matka, — nawet nie chce pamiętać tego, że to właśnie ona nie chciała, ażeby mąż z nią był tutaj. Zapragnęła zupełnej swobody, chce się bawić bez kontroli męża i bałamucić mężczyzn.

— Istotnie zapomniałam, mamusiu, że pan Jerzycki chciał zostać... ale znając jej usposobienie, może przecież odwiedzić żonę, ostrzedz ją.

— To do nas nie należy, — westchnęła, — w każdym razie nie świadczy to o harmonii małżeńskiej.

Pani Mniewska słuchała tej rozmowy, rozbawiona, z uśmiechem ironicznym: miała przecież w ręku dowód, czego pani Jerzycka wymaga od męża. Zawahała się tylko na chwilę, czy godzi się korzystać z depeszy zapomnianej na poczcie, lecz przemogła w niej chęć olśnienia pań Poreckich zdobytą wiadomością. Zaczęła cichym, współczującym głosem:

— Pan Jerzycki posiada całą moją sympatyę, to mąż bardzo dobry i kochający.

— Daruje, kochana pani, — uśmiechnęła się z wyrozumiałością pani Porecka, — ale sądzę, że w słowach pani za wiele jest pobłażliwości dla niego. Kochający mąż nie zostawia żony samej przez kilka miesięcy. Prawda, że pisuje do niej prawie co tydzień, ale co znaczy list, chociażby najczulszy?

— Ja winię tylko pana Jerzyckiego, — poparła Madzia matkę, — i z jego to winy pani Jerzycka narażona jest na umizgi niewłaściwe.

— Jakie panie są dobre! — zaśmiała się pani Mniewska, — ale bronicie sprawy przegranej... Ja mam dowód w ręku, że pan Jerzycki gorąco pragnie przyjechać tutaj i odwiedzić żonę, a ona się sprzeciwia.

Oczy obydwu słuchających pań zabłysły, podobna przyjemność rzadko się przytrafia w zakładzie: jest dowód obwiniający osobę niemiłą i dumną; jest fakt, który pachnie małym skandalem; jest tajemnica, która została zbadana i odsłonięta. Nic tedy dziwnego, że wiadomość ta wzbudziła gorączkową ciekawość i pani Mniewska, widząc wrażenie, miała prawo uśmiechać się tryumfująco.

— Gdyby nie to, że pani droga, znana ze swego taktu i prawdomówności, mówi coś podobnego, nie uwierzyłabym nigdy, — powiedziała tonem szczerej przyjaźni pani Porecka; — to prawie nie do wiary, ażeby młoda mężatka, mająca tak miłego i przystojnego męża, odtrącała jego miłość i zabraniała mu przyjazdu do siebie.

— I ja zostaję niedowierzającym Tomaszem, — uśmiechnęła się Madzia, — i póki nie obaczę na własne oczy, zawsze będę broniła pani Jerzyckiej.

— Szkoda rycerskich zapędów pani, — zaśmiała się pani Mniewska, — wiem bardzo dobrze, że dziś pani Jerzycka telegrafowała do męża: „Nie przyjeżdżaj, czekaj listu“, — sięgnęła do torebki i błysnęła blankietem telegraficznym.

— Pozwoli pani, — wyciągnęła Madzia rękę po papier.

— Zaraz, tylko wpierw opowiem historyę znalezienia depeszy... Otóż dziś przed wieczorem pojechałam na pocztę rzucić list ważny i nadać depeszę.

— Sama pani była na poczcie?

— Sama. Tutejszej służbie nie można dowierzać... Raz dałam list pilny do nadania i z daty recepisu dowiedziałam się, że u portyera przeleżał on dwa dni, a list był bardzo ważny. Siostra mego męża czekała z wyjazdem na mój list, czy ma tu przyjechać, czy też do Włoch, bo ma synka chorego.

— Cóż mu brakuje?

— Upadł na ślizgawce tak nieszczęśliwie, że zranił się tuż nad skronią, i teraz ból głowy powraca każdego dnia o pewnej godzinie.

— A ile on ma lat? Jak się nazywa?

— Jerzy, a ma dwunasty rok. I niech pani sobie wyobrazi, że to jedynak, jaka rozpacz rodziców. Teraz jednak pisze mi siostra, że mu lepiej... Ale o czem to ja mówiłam? — namyślała się.

— Pani oddawała list na pocztę, — podpowiedziała Madzia.

— Ach, tak, już wiem... Otóż wchodzę na pocztę i spotykam wychodzącą panią Jerzycką. Przywitałam się, nadałam swój list, i wzięłam blankiet na napisanie depeszy... idę do pulpitu, patrzę, a tu leży niewysłana depesza... i od niechcenia rzuciłam okiem... Zdziwił mnie adres: Jerzycki, posłańcem do Zawrotni. W pierwszej chwili sądziłam, że ona zapomniała wysłać, spytałam urzędnika, czy pani Jerzycka wysłała depeszę? Odpowiedział, że przed chwilą nadała. Domyśliłam się, że zepsuła blankiet i że mam kopię depeszy przed sobą, — umilkła, patrząc na zasłuchane panie.

— I co było w depeszy? — spytała niecierpliwie pani Porecka.

— W depeszy? — rozwinęła zwolna niebieskawy blankiet i przeczytała: „Nie przyjeżdżaj, czekaj listu, Wanda“.

Przez chwilę trwało milczenie, mogące oznaczać zarówno zdziwienie, jak i oburzenie, wreszcie pani Porecka z miną surową i nieprzejednaną wzięła papier z rąk pani Mniewskiej, odczytała i bez słowa podała Madzi. Dopiero, gdy ta przeczytała, zaczęła smutnym, zgnębionym głosem:

— To najprzykrzejsze, że czegoś podobnego dopuszcza się kobieta z naszej sfery i naszego stanu. Jak możemy teraz wymagać, ażeby inne kobiety prowadziły się wzorowo i przykładnie?

— I jaka to dysharmonia, — westchnęła Madzia żałośnie, — pomiędzy jej stanowiskiem a pro-

wadzeniem się. I jak ona mogła zostawiać taką depeszę?

— To palec Boży! — nauczała matka, — i pamiętaj, Madziu, że prawda zawsze wypłynie na wierzch i trzeba tak postępować, ażeby, tak jak my, nie mieć nigdy nic do ukrywania.

— Wiem o tem i nie mam sobie nic do zarzucenia... Jaki to jednak dziwny przypadek... Ona, która prawie nigdy sama nie jeździ i nie wychodzi, poszła jeden raz, trzeba, żeby zepsuła blankiet, żeby nie rzuciła go, ani podarła, lecz zostawiła na pulpicie i właśnie ażeby nadeszła pani Mniewska i chcąc napisać depeszę, zobaczyła zostawiony blankiet. Co za dziwny zbieg okoliczności!?

— Ach, ty moja filozofko! — rozczulała się matka, — wie pani, ona zawsze tak rozumuje i zastanawia się nad wypadkami życia... Madziu, moje dziecko, może pójdziesz do panny Miry i namówisz ją do gry na fortepianie.

Madzia, posłuszna, wstała i odeszła, a pani Porecka zaczęła szybko i pospiesznie:

— Nie chcę brudzić czystej duszy dziecka, ona nic nie rozumie i nie domyśla się, ale ta depesza Jerzyckiej daje mi dużo do myślenia.

— Tu niema żadnych domysłów, — uśmiechnęła się pani Mniewska, — po prostu nie chce, ażeby mąż jej przeszkadzał we flirtach z jednym i z drugim. Ten Jedliński wprost się dzisiaj oświadczył.

— Jakże to?

— Ona „Julia", on „Romeo", czyli chce być jej kochankiem, czy nie tak?

— Zdaje mi się, że on już jest, — powiedziała stanowczo, — pamięta pani tę ich schadzkę w salonie... wieczorem...

— Tak, tak... on teraz tylko za nią goni, i nie widzi, jakiemi czułościami obdarza ona Borowieckiego.

— Moja droga pani, każdego mężczyznę zaślepi kokietka, — westchnęła pani Porecka, — bo i co w niej jest? Chude to, szczupłe, płaskie jak deska, ale umie wabić i mężczyźni lecą za nią. Przecież tu tyle jest pięknych, miłych, rozumnych kobiet, — patrzała z uznaniem na swą sąsiadkę, która nie została dłużną w odpowiedzi i rzekła:

— I panien pięknych i świeżych, ak róża, jak malina... Panna Madzia, to istny promień słońca.

— Pani jest bardzo łaskawa, — usmiechnęła się, — a swoją drogą Madzia podoba się ogólnie; — i nachyliwszy się, szeptała prawie: — nie wie też pani, jak daleko zaszły te romanse?

— Ona jest na to dość sprytna, ażeby zachować pozory światowe... ale prawda wypłynie na wierzch.

— To wiem, idzie mi jednak o Madzię, ażeby nie była mimowolnym świadkiem zgorszenia... takie dzieciątko nie powinno brukać duszy.

— No, tak, zapewne.

— Miałam wyjechać za miesiąc, bo Madzia miewa jeszcze gorączkę, ale poradzę się doktora, czy nie możnaby wcześniej opuścić zakładu.

— Jeśli jednak pannie Madzi służy pobyt tutaj, lepiej byłoby zostać.

— Droga pani, — powiedziała z wielką godnością pani Porecka, — zdrowie ciała jest bardzo ważną rzeczą, ale nie mniej ważną jest zdrowie duszy, i matki obowiązkiem jest dbać o jedno i drugie.

XI.

Nastały słotne dni marcowe. Od czasu do czasu wyłaniały się z opon mgieł szczyty gór, ażeby za chwilę utonąć w nieprzejrzystych chmurach. Niepodobna było wyjrzeć z zakładu, tak bez przerwy siekł deszcz i śnieg, a chłodna, przejmująca wilgoć przeciskała się niewidzialnemi szczelinami w każdy, najbardziej zaciszny kącik.

Szary, mglisty dzień, z poświstem wichru, z deszczem i śniegiem, uderzającym w szyby okien, nastrajał wszystkich smutno, zgryźliwie, budził drzemiące żale i pretensye do Boga, świata, ludzi, całego otoczenia. Chorzy i słabowici odczuwali dotkliwiej swe cierpienia, rosły obawy o zdrowie, i udręczeni, szukali sposobności, ażeby wylaniem skarg ulżyć sobie w swym niepokoju i trosce.

Do obiadu zeszli chmurni, podejrzliwi, gotowi każdej chwili do odparcia rzeczywistych i urojonych zaczepek i przykrości. Potrawy podane wydały się niesmaczne, źle przyrządzone; usługa niezręczna i leniwa, woda mętna, wino kwaśne.

Rozmawiano półgłosem, nasłuchując uderzeń wichru, który trząsł ramami okien, huczał na narożnikach zakładu i wdzierał się do środka domu.

A właśnie tego dnia pani Wanda otrzymała list uspokajający z domu. Mąż donosił, że wobec zakazu doktora nie przyjedzie i będzie cierpliwie czekał chwili pozwolenia na zobaczenie się z nią. Pisał o swej tęsknocie, o niepokoju z powodu stanu jej zdrowia i kończył prośbą, ażeby mu napisała obszernie i szczerze o swem zdrowiu.

Upewniona, że nie spotka jej niemiła niespodzianka ze strony męża, czuła się dzisiaj zdrowszą, spokojniejszą, weselszą. Stosownie do swego usposobienia ubrała się w bluzkę jasno błękitną, i zamiast broszki przypięła różę pąsową, którą otrzymała w bukiecie od pana Jedlińskiego.



Pani Mniewska i pani Porecka usiadły w salonie obok siebie.

Weszła do sali jadalnej w chwili, gdy kończono zupę, a twarzyczka jej jasna, pogodna, odbijała bardzo korzystnie od smutnego nastroju całego towarzystwa. Wyglądała tak świeżo, tak wiosennie, w swej jasnej sukni, że zwróciła uwagę wszystkich na siebie. Mężczyźni witali ją miłym uśmiechem, i nawet panie łaskawie patrzyły na nią, zapominając chwilowo o swych pretensyach za jej conajmniej niewłaściwe postępowanie i przyjmowanie hołdów mężczyzn.

Naturalną bowiem koleją rzeczy wiadomość o depeszy wzbraniającej mężowi przyjazdu rozeszła się dość szybko w gronie osób żyjących bliżej ze sobą. Komentowano ją rozmaicie. Panie były zgorszone jej stosunkiem do męża, współczuły z nim, były przekonane, że to wstrzymywanie męża od przyjazdu kryje zdrożną chęć romansowania i zawiązania karygodnych stosunków. Jedna tylko pani Łotuska wbrew ogólnemu zdaniu powiedziała:

— Nie winię wcale pani Jerzyckiej, to jest naturalne następstwo faktu, gdy małżeństwo jest niedobrane. Żona nie jest rzeczą i własnością męża i nie można jej odmawiać prawa rozporządzania sobą.

— Miała dosyć czasu rozmyśleć się przed ślubem, — rzekła surowa pani Łącka, — a jeśli raz przysięgła wierność, nie wolno jej frymarczyć sakramentem.

Nawet przyjaźń Ryty ochłodła, zraził ją bowiem brak szczerości ze strony pani Wandy. Przypomniała sobie z goryczą, że ona pytała ją i Borowieckiego o radę z powodu przyjazdu niedyskretnego kuzyna, a okazało się, że chodziło tu o męża.

Mężczyźni byli bardziej wyrozumiali dla pani Wandy, już dlatego samego, że była piękna i młoda. O mężu wyrażali się lekceważąco, żonaci z pewną nawet satysfakcyą, że to jego, a nie ich spotkało i wszyscy bardzo łatwo pogodzili się z myślą, że pani Wanda znajdzie zastępcę męża, zaciekawiało ich tylko, kto będzie szczęśliwym wybrańcem pięknej pani.

Wiadomością o depeszy ucieszył się szczerze pan Jedliński, widział już siebie szczęśliwym zdobywcą jej serca. Według jego zdania depesza była logicznym wynikiem stosunków pani Wandy. Widocznem przecież było, że jej pożycie małżeńskie jest nieszczególne i że ona rada była pozbyć się męża jak najprędzej, a jeśli żona pragnie zostać samą w zdrojowisku, gdzie raczej się bawią, aniżeli leczą, to nie w innym celu, jak tylko dla użycia swobody, zaś swobody nie pojmuje kobieta inaczej, aniżeli jako puszczenie wodzy swym uczuciom; nie gra bowiem, nie pije, nie hula, nie poluje, nie oddaje się sportowi. I ona chętnie przyjmowała jego hołdy, pozwoliła nawet na oświadczenie miłości, przyjmuje drobne usługi, kwiaty... Depesza świadczy, że ona czeka i spodziewa się zawiązania chociażby niewinnego romansiku. Siebie winił, że dotychczas stosunek ich jest tylko idealny, gdyż był zbyt ostrożny, obawiał się zrazić ją, nie narzucał się jej przez delikatność, a ona widocznie należy do kobiet, które pragną być zdobywanemi.

Gdy ujrzał ją dzisiaj tak świeżą, rozjaśnioną, i poznał swoją różę, wpiętą do bluzki, postanowił skończyć ze swemi wątpliwościami. Co do Borowieckiego, którego obserwował zazdrośnie, przyszedł do przekonania, że on nie jest zajęty panią Wandą, ani ona nim, a łączy ich jedynie stosunek dobrej i zażyłej znajomości.

— Pani wniosła ze sobą promienie słońca i urok wiosny, — mówił do niej z przymilającym się uśmiechem.

— Chciałabym być zwiastunką pogody, — odpowiedziała, siadając przy stole, — ale na dworze świszcze wiatr i wokoło chmury i tylko chmury. Kiedy to się skończy? — zwróciła się do Borowieckiego.

— Dopiero się zaczęło, — uśmiechnął się, — a barometr wskazuje niepogodę, jednak w towarzystwie pani ma się wrażenie pogody. Czy otrzymała pani jaką miłą wiadomość?

Pani Porecka, siedząca naprzeciw, odezwała się z miną niewinną:

— Może mąż pani przyjedzie? Obiecywał nam, że niezadługo odwiedzi panią, a dotychczas go niema.

— Wątpię, ażeby teraz mógł porzucić gospodarstwo przy robotach wiosennych, — odpowiedziała uprzejmie, chociaż na czole jej pojawiła się zmarszczka niezadowolenia.

— Do robót polnych jeszcze daleko, — powiedziała pani Łącka, — dopiero początek marca i jeśli kiedy, to teraz ma gospodarz czas wolny, i sądzę, że mimo pewnych przeszkód pan Jerzycki powinien przyjechać do Zakopanego.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Szkoła na wolnem powietrzu: Nauka w gimnazyum w Strzyżowie odbywa się podczas pogody w ogrodzie.

Szkoła na wolnem powietrzu.

Na polu szkolnictwa, zarówno w technice nauczania, jak i w wychowaniu, dokonywa się u nas w ostatnich latach formalny przewrót. Dzieje się to pod wpływem zagranicy, szczególniej zaś Anglii, gdzie myśli postępowe najpierw się zrodziły, gdzie najpierw zrozumiano doniosłość reformy hygieny szkolnej. Ideałem szkoły nowoczesnej jest bez wątpienia pomieszczenie szkół zdala od miast, po wsiach, na łonie przyrody. Prądy te postępowe przesiąkają do nas powoli, znajdując jednak zapory nieprzebyte wobec ubóstwa kraju i skąpego wyposażenia szkół przez rząd. Szczególniej zaś umieszczenie szkół średnich po wsiach okazało się wprost niewykonalne i zapewne długo jeszcze pozostanie tylko *pium desiderium* wychowawców.

Niemniej jednak nie ustają usiłowania celem zbliżenia się do tego ideału. Powstające po małych miasteczkach galicyjskich szkoły średnie (na razie prywatne) mają wielką racyę bytu, bo warunkami hygienicznemi, o jakich uczeń wielkomiejski marzyć nie może, wyprzedzają niekiedy epokę współczesną o całe lat dziesiątki.

Takiem gimnazyum może się pochlubić miasto Strzyżów. Założone przed rokiem, liczące klasę pierwszą, ma przy budynku szkolnym ogród, w którym w dnie pogodne odbywa się nauka. Uczniowie wynoszą do sadu ławki, wieszadła, stolik i tablicę, na której wiesza się mapę lub obrazy botaniczne. Położenie budynku i sadu na uboczu, za miastem, wśród łąk i pól jest tego rodzaju, że z wpływów zewnętrznych tylko świergot ptaków może rozpraszać uwagę uczniów, do czego zresztą przyzwyczajają się po kilku dniach. Spostrzeżenia, czynione celowo przez nauczycieli nad nauką w tak niezwykłych warunkach, dały jak najlepsze wyniki.

W przyszłym roku sad tak będzie urządzony, że kilka klas będzie w nim mogło odbywać naukę, nie widząc się i nie przeszkadzając sobie.

Po zamordowaniu wielkiego wezyra.

Turcya, jak się okazuje, nie doszła jeszcze do końca swych klęsk. Po wojnie zewnętrznej, która pozbawiła ją prawie całej posiadłości europejskiej, zagraża jej rzecz o wiele gorsza i bardziej niebezpieczna, mianowicie wewnętrzna rewolucya. Walka między młodoturkami a zwolennikami starego porządku, trwa już od lat. Doprowadziła ona do obalenia Abdul Hamida, a zagrażała już kilkakrotnie i obecnemu sułtanowi. Wzajemnie starają się obie partye utrzymać władzę w swych rękach, a ponieważ jedyną podstawą tej władzy jest wojsko, o jego przyjaźń obie partye zabiegają, bez względu na to, iż przez takie przeciąganie wojska z partyi do partyi rozprzęga się ono i dezorganizuje.



Po zamordowaniu wielkiego wezyra: Wojsko oblega dom, w którym schronili się mordercy.

Jeśli obecna wojna turecka, która zakończyła się klęską Turcyi, miała tak nieoczekiwany przebieg, główna przyczyna tego leży właśnie w tem rozprzężeniu armii, które po kilkakrotnych rewolucyach wojskowych nastąpiło.

Ostatnie zabójstwo wielkiego wezyra było również podyktowane partyjną zawiścią. Mahmud Szefket pasza był głową partyi młodotureckiej, i jako uczeń Goltza paszy tworzył główną siłę, która miała zreorganizować armię turecką. Przeciw niemu też zwróciła się głównie nienawiść staroturków. Napadnięty przez najętych zbirów, został zamordowany na ulicy.

Rzecz prosta, że młodoturcy rozpoczęli energiczne śledztwo. Okazało się, że banda morderców liczyła dziesięciu ludzi. Część ich, uzbrojonych w rewolwery, ukryła się w domu na Perze, który jest własnością angielskiego poddanego. Konsul angielski udzielił pozwolenia do zrewidowania domu, a wtedy otaczające dom oddziały policyi zostały przez bandytów zaatakowane ostrymi strzałami. Walka zawrzała jak podczas normalnej bitwy. Z obu stron ostrzeliwano się zawzięcie. Wreszcie po trzech godzinach oblężenia dom został zdobyty. Z pośród oblegających padli między innymi ordynans komendanta placu porucznik Hilmi, trafiony kulą w piersi, oraz sędzia śledczy Samuel, ugodzony kulą w nogę. Uwięziono morderców Topala Tewfika, szofera Dzewada, czerkiesa Abdurrahmę, dalej Kiora Emina, Nazima, Kiazima, Zia, którzy byli znani jako apasze.

Za zamordowanie wielkiego wezyra otrzymali oni 4000 funtów. Zia, który jest głównym mor-



Po zamordowaniu wielkiego wezyra: Pogrzeb Szefketa paszy.





Orkiestra marynarki austro-węgierskiej w Skutari. **Z nowego państwa na Bałkanach:** Mur z czasów rzymskich w Durazzo.

dercą, był już raz za zabójstwo skazany na śmierć. Pogrzeb wielkiego wezyra odbył się bardzo uroczyście. Illustracye nasze przedstawiają pogrzeb wielkiego wezyra oraz sceny z oblężenia morderców.

Z nowego państwa na Bałkanach.

Krwawa wojna na Bałkanach zadała wprawdzie ostateczny kres potędze tureckiej, nie uciszyła jednak wiecznie buchającego ogniem wulkanu bałkańskiego. Po pogromie Turcyi, niedawni sprzymierzeńcy stali się znowu nieprzejednanymi wrogami... Państwa związku bałkańskiego, tak dzielnie walczące obok siebie, nie wytrzymały ogniowej próby przy podziale zdobyczy wojennych.

Względny spokój zapanował natomiast w Albanii, która najwięcej kłopotu sprawiła Europie i jej dyplomacyi... Samodzielne państewko albańskie, ten jedyny owoc austryackiej polityki na Bałkanach, znajduje się jeszcze w stadyum bardzo nieokreślonem. Były obrońca Skutari i niedoszły władca Albanii, Essad basza, z resztką swej armii schronił się do miasteczka albańskiego Tirany i tam oczekuje dalszego rozwoju wypadków... Tymczasem zaś w stolicy Albanii, w Skutari, gospodaruje załoga międzynarodowych wojsk europejskich. Straż nad niezawisłością Albanii pełnią tam również i wojska austryackie, a między innemi oddział marynarzy z orkiestrą, którą widzimy na jednej z naszych illustracyi.



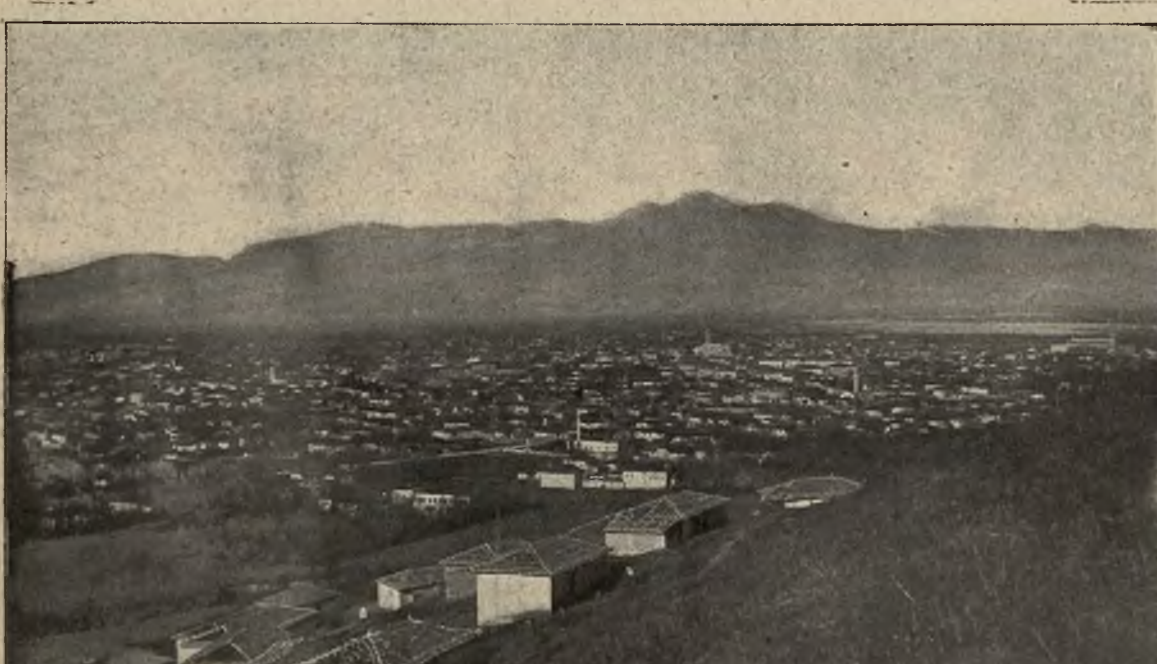
Z nowego państwa na Bałkanach: Albańczyk raniony granatem podczas oblężenia Skutari.

Wkroczenie wojsk europejskich do Skutari położyło jednak kres strasznym walkom, jakie toczono na ziemi albańskiej... Krwawe opisy, jakiemi przepełnione były sprawozdania z pola walki, mogły dać tylko słaby odblask tych okropności, jakie kryje współczesna wojna... Na innej illustracyi widzimy jeszcze żywego i męczącego się w okropnym bólu Albańczyka, któremu granat czarnogórski oderwał nos i zdruzgotał szczękę...

Straszne, okropne żniwo wojny! Dla Albanii nie było ono jednak bezowocne, bo dało jej przynajmniej częściową niezawisłość... Dzięki polityce antagonizmów mocarstwowych na Bałkanach, ten maleńki i tak mało kulturalny kraik stał się samodzielnem państwem. Czy na długo, najbliższa przyszłość to okaże.

Teatr Polski w Warszawie.

Stworzony wyłącznie inicyatywą i ofiarnością społeczeństwa Teatr Polski w Warszawie rozpoczął swą kampanię pod znakiem nie tylko prawdziwej, ale i rodzimej sztuki. Od dnia otwarcia teatru, t. j. od 29 stycznia r. b. wystawiono w nim ośm sztuk, z których dwie tylko obce, mianowicie: Ibsena „Wróg Ludu“ i Bennetta „Miodowy Miesiąc“. Potem na afiszu widniały nazwiska: Zygmunta Krasińskiego, hr. Fredry, Jana Nepomucena Kamińskiego, L. H. Morstina, Nowaczyńskiego i Zygmunta Kaweckiego.



Z nowego państwa na Bałkanach: Ogólny widok miasta Skutari, stolicy Albanii.



Po zamordowaniu wielkiego wezyra: Żołnierze tureccy przez okno sąsiedniego domu wdzierają się do kryjówki morderców.

Warszawa chce widzieć w Teatrze tym świątynię wielkiej poezyi i wielkiego repertuaru, sztuk klasycznych, pokrytych patyną, czego najlepszym dowodem jest to, że „Irydion“ dał 41 świetnych przedstawień, „Krakowiacy i Górale“ 40, nicomal zawsze przy wyprzedanej sali, a obecnie „Lilje“ Morstina cieszą się równem powodzeniem.



Teatr Polski w Warszawie: „Wróg Ludu“ Ibsena (4-ty akt, wiec).

Teatr Polski zakasował już wszystkie teatry stołeczne wykwintem wystawy, malowniczością jej, stylowością w meblach, kostyumach, dekoracyach, komponowanych przez tak doświadczonych malarzy-dekoratorów, jak pp. Karol Frycz, W. Drabik, Antoni Gawiński.

Do tryumfu Teatru Polskiego, który sobie postanowił być najlepszym polskim teatrem, przyczynia się świetny zespół artystów, na czele których dość wymienić nazwiska M. Przybyłko-Potockiej, Stanisławy Wysockiej, St. Słubickiej, Dulębianki, Józefa i Maksymiliana Węgrzynów, Weycherta, Zelwerowicza, Leszczyńskiego, Sosnowskiego, Junoszy i wielu, wielu innych doskonałych artystów.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie przedstawiają kilka scen ze sztuk wystawionych w Teatrze Polskim, mianowicie z „Krakowiaków i Górali“, „Wroga Ludu“ i „Nowych Aten“ Nowaczyńskiego.



Po zamordowaniu wielkiego wezyra: Wojsko opuszcza dom, w którym ujęto morderców Szefketa paszy.

Sztuka w szkole.

Wychowanie szkolne, którego zadaniem jest wszechstronny rozwój umysłowy uczniów i uczenic, musi dbać również i o wyrobienie estetycznej kultury. Obok wykładów z historyi sztuki, w tym celu służy nauka rysunków, która pomimo dorywczego traktowania w szkołach średnich, może się pochlubić nieraz artystycznemi rezultatami. O skutecznej pracy w tym kierunku świadczy wymownie otwarta w tych dniach w Liceum p. Kaplińskiej w Krakowie wystawa prac malarskich, rysunkowych i kilimowych projektów uczenic tegoż zakładu. Naogół wystawa ta świadczy o wysokim poziomie artystycznym, na jakim postawili naukę rysunków artyści malarze prof. Żelechowski i Misky. Wybijają się na plan pierwszy mozaikowe kompozycye uczenic kl. II., z III. zaś malowidła pp. Strużyńskiej i Mehlówny. Największą kulturę artystyczną wykazują z klasy V. p. Cieszyńska w swych olejnych studyach martwej



Teatr Polski w Warszawie: „Krakowiacy i Górale“ (1-szy akt).



Wycieczka górnicza: Uczniowie szkoły górniczej z Wieliczki na kopalni „Saturn" pod Sosnowcem. (X) Dyr. kopalni „Saturn" p. Brzostowski, (XX) dyr. szkoły p. Piestrak.

oryentowanie się w skomplikowanych stosunkach ekonomicznych współczesnego życia.

W szeregu licznych tego rodzaju kursów odbył się niedawno w lokalu Izby rękodzielniczej w Krakowie kurs informacyjny dla funkcyonaryuszy stowarzyszeń przemysłowych. Kurs został urządzony staraniem i kosztem krajowego Instytutu popierania rękodzieł i przemysłu w Krakowie jako dalszy ciąg tego rodzaju kursów, urządzonych już w roku ubiegłym z nader dodatnim rezultatem. W program nauki wchodziły wykłady p. dyr. Tilla o popieraniu rękodzieł i przemysłu, wykłady p. Batki, wicesekretarza Magistratu, o prowadzeniu kancelaryi w stowarzyszeniach przemysłowych i o ustroju politycznym państwa, p. Ostrowskiego, instruktora stowarzyszeń przem. o ustawie przemysłowej, p. dr. Wydry, sekretarza Magistratu, o ustawach podatkowych i dra Leinkrama, wicesekretarza Magistratu, o ustawach ubezpieczeniowych. Na naukę, która odbywała się rano i po południu, uczęszczało około 20 słuchaczy.

Po ukończeniu kursu odbył się w myśl przepisów ministeryum robót publicznych egzamin, na podstawie którego otrzymali uczestnicy świadectwa. Kurs zakończyła wspólna fotografia uczestników kursu wraz z prelegentami, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Teatr Polski w Warszawie: „Nowe Ateny" Nowaczyńskiego (końcowa scena 1-ego aktu).

natury, p. Kopecka w kwiatach i owocach, malowanych akwarelą i temperą, tudzież w rysunkach z dzieł starych mistrzów. P. Kłębkowska dobrze odczuwa kolor, a p. Anczycówna i Czernówna komponują doskonale projekty kilimowe, z których trzy wraz z projektem p. Olawii Kopeckiej, już wykonane w pracowni kilimów p. Wandy Grott w Krakowie, ogromnie urozmaicają wystawę. Wreszcie wspomnieć należy o rysunkach figuralnych p. M. Regiecówny, o głowach i portretach pp. Olesińskiej, Liorówny, Bocheńskiej, Zawilińskiej i wielu innych.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy dwa fragmenty z wystawy.

Kurs dla funkcyonaryuszy stowarzyszeń przemysłowych.

Koniecznym warunkiem należytego rozwoju rękodzieł i przemysłu jest niewątpliwie wyszkolenie zdolnych, a przytem teoretycznie i praktycznie wykształconych pracowników. W tym celu też w Galicyi w ostatnich czasach bardzo dużo zrobiono. Obok szkół fachowych odgrywają ważną rolę najrozmaitsze kursa zawodowe, urządzane we wszystkich miejscowościach kraju. Oprócz wykształcenia czysto zawodowego dla pracowników na niwie rękodzielnictwa i przemysłu niezbędne są i teoretyczne wiadomości, umożliwiające najszerszym sferom



Kurs dla funkcyonaryuszy stowarzyszeń przemysłowych: Grupa kierowników i uczestników kursu.

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

17

W niecałych czternastu dniach rozegrał się ten tragiczny, a tak dziwny i piękny rozdział naszego życia.

Moja matka! jeśli parowiec pocztowy, któryśmy spotkali, przywiózł jej wiadomość o mnie, wiedziała przynajmniej, że żyję. Jak jednak przyjmie Helgę, obcą zupełnie dziewczynę, którą przyprowadzę jej jako nową córkę?

. . . .

Wreszcie zaświtał ranek. Z współczujących spojrzeń Helgi wywnioskowałem, że fizyczne i duchowe przejścia ostatnich dni pozostawiły na mnie silne ślady. Zjedliśmy śniadanie, poczem napełniliśmy wodą próżne wiadro, które nam przez drzwi podali Malajczycy. Nakir skorzystał z tej sposobności, aby nas zakląć na Koran, że nie mamy się czego ich obawiać, jeśli ich wypuścimy. Mówił jednak do głuchych.

Po południu słaby wietrzyk zamienił się w silny wiatr, a okręt pochylił się silnie pod parciem żagli. Chłodne powietrze studziło nasze rozgorączkowane twarze. Przód okrętu pruł ostro wysoko piętrzące się fale, a statek pozostawiał szeroką świecącą smugę za sobą. Helga porobiła obserwacye astronomiczne i stwierdziła, że jeśli wiatr utrzyma się w obecnej sile, dotrzemy za kilka godzin do Tenerify.

Staliśmy rozmawiając przy burcie okrętu. Abraham chodził po przednim pomoście, odbywając straż, a Jakób spał opodal. Nagle wzrok mój zatrzymał się na głównym maszcie, oświetlonym purpurowo zachodzącem słońcem. Na wysokość jakich dwudziestu stóp otaczał go szary wyziew, który podnosił się z pokładu i owijał się wokoło drzewa. Przypisałem to w pierwszej chwili rozgrzanemu słońcem powietrzu, gdy wtem Helga krzyknęła:

— Okręt się pali!!

Równocześnie rozległo się wołanie Abrahama:

— Ogień! Mr. Tregarthen! Pali się! Dym wydobywa się już przez drzwi!

Oddałem Heldze prowadzenie steru i zbudziłem Jakóba. Nie myliliśmy się. U stóp głównego masztu wznosił się w górę obłoczek dymu, zataczając sine kręgi. Z dołu dochodziły zduszone krzyki; skoczyłem do otworu i zapytałem, co się stało. Nakir odpowiedział, że kilku ludzi przez nieostrożne obchodzenie się z lampą spowodowali pożar i ładunek okrętu się pali.

— Na waszego Boga was zaklinamy, wypuśćcie nas zaraz, albo musieć spalić się marnie!

Pobiegłem z Jakóbem na tył okrętu. Przy pierwszem usiłowaniu otwarcia zapadni, prowadzącej do oddziału składowego, buchnął z głębi taki kłąb dymu, że odskoczyliśmy dusząc się. Przerażenie odebrało mi prawie władzę w członkach. Stanęliśmy w obliczu nowej katastrofy, najstraszniejszej, jaka grozić może żeglarzom na pełnem morzu.

— Na Boga! co mamy robić? — jęknąłem.

— To przecież zupełnie jasne — odpowiedział Jakób, który najszybciej przyszedł do przytomności i spokojnie oceniał sytuacyę — musimy opuścić statek!

— A Malajczyków skazać na śmierć? — zawołałem wzdrygając się.

— Słuchajcie! jak wrzeszczą na dole! — krzyknął Abraham, cały drżący z wzruszenia. — Musimy zaopatrzyć jedną z łodzi w żywność, a nim odbijemy od statku, ostatni z nas, który zejdzie z pokładu, musi otworzyć drzwi, aby mogli się wydostać. Tym ostatnim będę ja sam!

— Nie, ty nie! Ty nie umiesz pływać! — zaprotestował Jakób.

— Wezmę pas ratunkowy i skoczę potem do wody.

— Nie! ty wsiądziesz do łodzi, a ja zostanę, ostatni, na pokładzie.

Z dołu rozlegały się okrzyki i jęki, które zdawały się być zupełnie niepodobne do głosów ludzkich. Scinały one nam krew w żyłach. Wydawało nam się jednak rzeczą niemożebną, aby wypuścić te bestye rozwścieklone na nas do ostatecznych granic. Z pewnością byliby się na nas rzucili.

W gwałtownym pospiechu znosiliśmy do łodzi wszystko, co można było w tej gorączce złapać, wkońcu zatoczyliśmy kilka beczek wody, wrzucili zwinięte żagle, ster zapasowy, instrumenty, słowem wszystko, co się pod rękę znalazło. Do pośpiechu nagliły nas coraz straszniejsze wycia, które z dołu do nas dochodziły.

— Jeśli ci dzicy nie mają nas ścigać, to trzeba im odebrać także drugą łódź — zadecydował Abraham.

Siekierą wybił jej w dnie kilka dużych dziur.

— Czy wszystkie gotowe? — zapytałem.

Wtem Helga krzyknęła w ostatnim momencie:

— Czekaj Hugh! moja paczka, mój obrazek!

Skoczyłem na dół do kajuty, którą zamieszkiwała jeszcze za czasów kapitana Buntinga i wyszukałem paczkę. Tutaj nie było zupełnie dymu. Nagle przypomniałem sobie, że poprzedniego dnia w kajucie zamordowanego sternika widziałem woreczek z złotemi i srebrnemi monetami; prawdopodobnie były to oszczędności nieszczęśliwego, owoc długoletniej pracy i ciężkich starań i trosk. Ponieważ nie miałem przy sobie ani centa, schowałem woreczek do kieszeni. Potem wylazłem na górę.



...Przypatrywali się nam dziwnie spokojnie.

— Teraz, naprzód!

Najpierw Helga, potem ja wsiadłem do łodzi, Abraham i jego przyjaciel opuścili ją na dół, a po chwili dotknęliśmy powierzchni morza. Abraham spuścił się zaraz do nas po linie okrętowej i zaraz zabrał się do ustawiania masztu. Ja przytrzymywałem łódź na linie, umocowanej do burty okrętowej.

— Baczność! — krzyknął Jakób z góry. Rzucił nam następnie buciki, czapkę i płaszcz. — Za moment skoczę do morza! Wyłówcie mnie do łodzi!

Puściliśmy ster w ruch, barka poszła pod wiatr tak, że żagiel naprężył się. Morze wznosiło się i opadało bardzo słabo.

— Niech pan da pannie Nilsen linę do trzymania — rozkazywał Abraham — my przymocujmy wiosła.

Ponieważ ciągle jeszcze znajdowaliśmy się pod bokiem okrętu, nie mogliśmy widzieć, co się działo na pokładzie. Liczyłem na to, że więźniowie po wypuszczeniu będą za bardzo oślepieni słońcem i odurzeni świeżem powietrzem, żeby mieli rzucić się na Jakóba, zanim skoczy.

Czekaliśmy z zapartym oddechem; sekundy dłużyły się, jakby godziny.

Nagle rozległo się straszne wycie, a nad głowami naszemi padł rozkaz:

— Baczność! teraz!

— Puszczaj! — krzyknął Abraham.

Helga puściła linę, która łączyła nas z okrętem.

— W tył!

Abraham odepchnął łódź od statku i obaj zaczęliśmy energicznie wiosłować.

Z góry na ułamek sekundy mignął mi w powietrzu Jakób, który śmiało skoczył do wody, w następnej sekundzie pokryło go morze.

Zaraz potem ukazała się jego czerwona twarz o kilka metrów od naszej łodzi, kilkoma uderzeniami wioseł dobiliśmy do niego, a ja chwyciłem go za kark, aby dopomódz mu dostać się do łodzi.

— Doskonale zrobiłeś, Jakóbie! — pochwaliłem go. — Napij się wódki! Słońce szybko wysuszy ci ubranie.

— Gdzie są Malajczycy? — zapytał Abraham.

— Nie bawiłem się przecież z nimi — odpowiedział Jakób — krzyknąłem im: „teraz możecie wyjść“ i skoczyłem.

Spojrzałem na okręt i dojrzałem w tej chwili Nakira i Pnumeamoottego, którzy spokojnie stali na pokładzie i przyglądali się nam. Obok nich ukazali się na pokładzie i inni Malajczycy, wszyscy jednak, zamiast ratować okręt i gasić pożar, przypatrywali się nam dziwnie spokojnie.

Zanim jeszcze mogliśmy się zoryentować w tem, co się dzieje, całe zebranie Malajczyków wybuchnęło szalonym wprost śmiechem.

Przesyłali nam ironiczne znaki pożegnania rękami, a Nakir kłaniał nam się czapką i wybijał głębokie pokłony.

Następnie zaczął wydawać rozkazy spokojnym i donośnym głosem, który nie zdradzał bynajmniej obawy, ani wzruszenia. Marynarze rozeszli się szybko na swe posterunki, żagle poruszyły się, statek ruszył szybciej naprzód, a wiatr uderzył w napięte żagle. Spokojnie, jakby nic nadzwyczajnego się nie stało, popłynął okręt z pełnymi żaglami, popychany północno-wschodnim wiatrem.

Ze zdumienia po prostu pogłupieliśmy. Opuściliśmy wiosła i patrzyli oniemiali na scenę, która przed nami się rozgrywała. Nie trzeba było wcale wielkiej bystrości umysłu, aby zrozumieć, że padliśmy ofiarą doskonale obmyślonego podstępu, przy wykonaniu którego ta kolorowa banda nie wiele ryzykowała. Sam zestawiłem sobie w myśli, jak ta cała sprawa się dokonała. Spalenie wełnianego koca wystarczy, aby cały okręt napełnić dymem. Tak też zapewne zrobili. W każdym razie podstęp im się udał w zupełności, a dowodem tego był okręt płynący spokojnie w świetle poranka na południowy zachód.

Na widok takiego poniżenia moralnego obaj marynarze wybuchnęli wściekłym gniewem. Abraham trzasnął o ziemię czapką i zaczął wyklinać za odjeżdżającym statkiem. Jakób, przemoczony do nitki, dopomagał Abrahamowi z pełnego gardła, odgarniając ręką czarne swe włosy, które przyklejały mu się na mokrej twarzy.

— Pojadę za nimi — zgrzytnął zębami Abraham. — Nie podaruję przecież łajdakom mojego zarobku. Czyż ciągle mam tylko mieć pecha i tylko pecha? Najpierw historya z „Jutrzenką“, a teraz ta sprawa, która mogła była każdemu z nas dać zarobku trzysta lub czterysta funtów. I człowiek jeszcze się litował nad tymi drabami!

Helga kierowała spokojnie sterem i podprowadziła łódź pod wiatr tak, iż pochyliła się całkiem na bok i pędziła szalenie naprzód. Siedzieliśmy znowu, kupka opuszczonych ludzi, w otwartej małej łódce na niezmierzonym, wielkim oceanie. Wokoło nie widać okrętu, a najbliższe wybrzeże odległe jest o kilkaset mil. Na dobitek wiatr północno-wschodni nie pozwalał na żeglugę wprost ku wybrzeżu.

Mimo, iż położenie nasze było bardzo trudne,

miałem uczucie, jakby mi z bark zdjęto wielki ciężar. Wprawdzie człowiek dopiero wtedy naprawdę poznaje swą bezsilność, gdy opuści bezpieczny pokład dużego statku i nagle znajdzie się w małej łodzi na oceanie. Nigdzie nie wydaje mu się śmierć bliższą; zaledwie kilka lichych desek oddziela go od niezgłębionej toni wód oceanicznych.

Na myśl o tem nawet najodważniejszego przebiega dreszcz, choćby znajdował się w tropikalnym upale. Obecnie przebyte doświadczenia nie wywołały we mnie w tej chwili tego uczucia. Poznałem całą zażartość oceanu i wiedziałem, że znajduję się w jego mocy. On spał w tej chwili. Czy zdołamy mu uciec, zanim się obudzi?

W płomiennej purpurze zachodziło słońce na horyzoncie. Na wschodzie rozciągał się delikatnie fioletowy cień.

— Nic nie widać! — oświadczył Jakób.

— Gdyby wiatr obrócił się więcej na północ, moglibyśmy wprost zwrócić się do Tenerify! Wtedy moglibyśmy szybko dostać się na stały ląd — rozumowałem.

Wiatr wzmógł się jeszcze, a łódź pędziła naprzód, jak gdyby była przywiązana liną do szybkiego parowca.

Purpura zachodu zaczęła blednąć; srebrny welon nocy zaczął rozciągać się po przestworzu, a promienie księżyca rzucały jasne blaski na nasz mały okręcik, rzeźbiąc go i zdobiąc, jakby kością słoniową.

Zapaliliśmy latarnię, aby oświecić kompas. Następnie przygotowaliśmy skromną wieczerzę, a spożywając ją, rozmawialiśmy urywanemi zdaniami o przejściach dnia.

Chwilami zdawało nam się, że znużonemi naszemi oczami dostrzegamy w oddali światełko, zawsze jednak okazywało się, że przeczulone nasze nerwy łudziły nas. Wreszcie zaczęliśmy drzemać.

Około piątej nad ranem zbudził mnie nagle z półsnu, w jakim byłem pogrążony, okrzyk Abrahama:

— Okręt przed nami!

Ah, w niewiekiej odległości za naszym okrętem ukazały się czerwone, zielone i białe światła sygnałowe parowca pocztowego, który płynął prosto ku nam. Wyraźnie po przez ciszę nocną słychać było pracujące maszyny.

— Dawaj sygnały latarnią, Jakóbie! — wołał Abraham — inaczej przejadą po nas. Będę liczył do trzech, a wtedy wszyscy razem musimy krzyknąć: „okręt tutaj!“

Kilkakrotnie krzyczeliśmy z całej piersi, aż wreszcie sygnał zielony na statku znikł.

— Widzą nas! widzą nas!

Maszyna została wstrzymana, wielka, ciemna masa podpłynęła ku nam, a silny głos zawołał:

— Łódź ahoi! Czego chcecie?

— Jesteśmy rozbitkami — odpowiedział Abraham. — Rzućcie linę i zabierzcie nas na pokład.

W pięć minut łódź naszą ze spuszczonym żaglem przywiązywano do boku okrętu. Nasza czwórka znalazła się wraz z całym naszym dobytkiem na pokładzie, maszyna ruszyła znowu, woda rozbryznęła się, a kapitan wypytywał nas obszernie o nasze przejścia.

Nareszcie w domu.

Rano 18 listopada, była to sobota, zatrzymał się parowiec „Mosquito“ w porcie Falmouth, aby mnie i Helgę wysadzić na ląd. Parowiec płynął od zachodnio-afrykańskiego wybrzeża do Londynu, a mogliśmy byli o kilkanaście dni wcześniej znaleźć się w Anglii, gdyby nie wypadek, że „Mosquito“, który nas przyjął na pokład, zepsuł maszynę i mógł ją dopiero w Funchal naprawić.

Oba ostre przylądki wybrzeża koło Falmouth roztaczały przed nami całą swoją piękność. Mieliśmy przed oczyma perłę krajobrazów nie tylko Anglii, ale całego świata. Śnieg pokrywał już niższe wzgórza i błyszczał w promieniach jesiennego słońca. W swej niepokalanej czystości w dali majaczyły góry, wznoszące swoje szczyty coraz wyżej.

Podziękowaliśmy serdecznie kapitanowi za pomoc a następnie pożegnaliśmy się z Abrahamem i Jakóbem. Podarowałem im połowę pieniędzy, jakie znalazłem w kajucie sternika i prosiłem o zostawienie mi ich adresów. Następnie uścisnęliśmy sobie kilkakrotnie serdecznie ręce.

— Bóg niech was błogosławi! — wyjęknąłem głosem tłumionym przez wzruszenie. Przemagało mnie ono, kiedy przy rozstaniu po raz ostatni spojrzałem w oczy obu tych poczciwców. Nie widziałem ich już potem nigdy, przypuszczam jednak, że obu Dealczykom dobrze się powodzi.

Postanowiłem zaczekać jeszcze przez niedzielę w Falmouth, aż otrzymam list od Mr. Trembartha, do którego natychmiast po przyjeździe napisałem, prosząc, aby matkę moją przygotował na wiadomość o mym powrocie. Obawiałem się bowiem, że niespodziewane ukazanie się moje w domu zaszkodziłoby zdrowiu matki.

Wspólnie z Helgą przeżyliśmy spokojny, szczęśliwy dzień, opromieniony świadomością naszej głębokiej wzajemnej miłości. Byłem dumny z takiej narzeczonej, która umiała być dzielną i odważną, a której bohaterska odwaga w chwilach niebezpieczeństwa nie umniejszała jej słodkiego dziewiczego wdzięku.

Po nużącej monotonii morza i wyczerpującem czuwaniu na strażnicy okrętu, a potem łodzi, używaliśmy obecnie całą piersią rozkoszy cudnych widoków natury, których bogactwo mieliśmy wokoło nas.

Szczęście nasze stało się już zupełnem, kiedy w poniedziałek rano nadszedł pocztą list od Mr. Trembartha. Matka moja czuła się nieźle i czekała na mnie z radością. W godzinę potem pociąg unosił nas ku Tintrenale.

Po przyjeździe udaliśmy się najpierw do Mr. Trembartha.

Kiedy schodziliśmy ze wzgórza, roztoczył się przed nami obszerny widok na całą zatokę. Mimowoli ująłem rękę Helgi. W przeźroczystem prawie, rannem powietrzu odrzynały się wyraźnie na tle obszaru morza „Bliźniaki“, a jeszcze silniej na jasnem tle występowała skała Deadlow. Białe mewy unosiły się nad tamą portową. Kurek na szczycie wieży kościelnej błyszczał purpurą wschodu, a u brzegów na dole rozbijały się fale morskie, pieniąc się i szumiąc. Zycie uliczne miasteczka dochodziło do nas głuchymi odgłosami.

— Chodź, moje kochanie! — przerwałem wreszcie nasze uroczyste milczenie.

Ruszyliśmy pospiesznie w dół i zastaliśmy Mr. Trembartha w jego pracowni.

— Wielki Boże! Hugh Tregarthen! — wykrzyknął, zrywając się ze stołka — a więc naprawdę zmartwychwstałeś?!

Ściskał mnie za ręce i zasypywał wykrzyknikami radości i podziwu, tak, że nie mogłem słowa przemówić. Wreszcie zauważył także Helgę, a wtedy skorzystałem z chwilowej przerwy, jaka w potoku jego wymowy nastąpiła, aby mu ją jako moją narzeczoną przedstawić. Spojrzał na mnie bardzo niepewnym wzrokiem, jakby chcąc się upewnić, że nie żartuję. Potem wyciągnął do Helgi obie ręce, a ona podała mu swoje ze łzami w oczach, rumieniąc się przecudnie. W krótkości opowiedziałem mu nasze przejścia i prosiłem, aby towarzyszył Heldze, ponieważ pragnąłbym najpierw sam z moją matką się spotkać i rozmówić.

— Jeszcze jedno pytanie, zanim wyruszymy, Mr. Trembarth! — rzekłem. — Co się stało z załogą mojej łodzi ratunkowej?

— Trzech utonęło — odpowiedział. — Inni uratowali się przy pomocy swych pasów ratunkowych. Kiedy odzyskali przytomność, opowiedzieli, że biedni Duńczycy wszyscy zginęli.

Helga wzruszona złożyła ręce i wyszeptała kilka duńskich słów. W milczeniu objąłem ją i pocałowałem, poczem ruszyliśmy w drogę do mojej matki. Prawie co krok zatrzymywano mnie na ulicy i witano, wiadomość bowiem o cudownem mojem ocaleniu rozeszła się szybko po miasteczku.

Matka moja stała u okna naszego starego domu i wyglądała oczekując mojego pojawienia się, drzwi otwarły się i nie znajdując słów, wzruszony znalazłem się w jej drogich objęciach. Długo trzymała mnie w uścisku w milczeniu, a tylko gorące łzy spływały na moją głowę. Potem usiedliśmy obok siebie na sofce i spojrzałem głęboko w to kochane stare oblicze, które spoglądało na mnie z pod korony białych jak śnieg włosów, utrudzone, ale obecnie pełne wewnętrznej radości. Drżącemi rękami gładziła moje włosy.

Jakby we śnie błądził mój wzrok po małym pokoiku, po naszym kominku i tych licznych a tak dobrze mi znanych przedmiotach. Nie mogłem jeszcze ciągle oswoić się z myślą, że jestem w domu. Przed czterema dniami dopiero otrzymała moja matka wiadomość, że żyję; nie spodziewała się kiedykolwiek mnie jeszcze zobaczyć.

Rozpocząłem moje obszerne opowiadanie. Zaniepokojona słuchała matka bardzo uważnie. Miałem wrażenie, że zaczyna zgadywać moją tajemnicę instynktem macierzyńskiej zazdrości. Kiedy wymieniłem imię Helgi Nilsen, uwaga jej się podwoiła. W gorących słowach przedstawiłem jej dziecięcą miłość Helgi, jej obawy, głęboki jej ból po śmierci ojca i jej szczerą pobożność. Miłość i duma zrobiły mnie wymownym; łzy współczucia ukazały się w oczach matki.

— Dlaczego nie przywiozłeś jej tutaj, Hugh? — zapytała. — Jest dobrą córką, dlatego chętnie ją pokocham.

Ucałowałem moją mateczkę.

— Jeszcze bardziej ją będziesz kochała, gdy ją poznasz. Zostanie ona bowiem moją żoną, matuchno. Czy chcesz biedną, opuszczoną sierotę przyjąć do swego serca?

Matka moja zawahała się, a po chwili głębokiego namysłu rzekła:

Jesteście jeszcze oboje bardzo młodzi i oboje biedni, Hugh!

Pogłaskała mnie po ręce, a wzrok jej pobiegł ku portretowi ojca.

W tej chwili zapukał do drzwi energicznie Mr. Trembarth.

Wybiegłem szybko i otworzyłem miłym gościom. Ująwszy Helgę za rękę wprowadziłem ją do pokoju. Była blada i zalękniona, wyglądała jednak bardzo ujmująco.

Badawcze spojrzenie matki ustąpiło miejsca ciepłemu, serdecznemu uśmiechowi. Podeszła do Helgi, i ucałowała ją serdecznie, mówiąc:

— Witaj w naszym domu!

Poprowadziła ją następnie do kanapy, gdzie usiadły obie, objąwszy się. Kiedy po chwili wezwała mnie matka, abym usiadł obok niej z drugiej strony Mr. Trembarth, który w drzwiach oczekiwał zakończenia sprawy, skinął mi ręką i zniknął.

W kilka tygodni potem Helga Nilsen została moją żoną.

K O N I E C.





Katastrofa kolejowa pod Dunajowem: Rozbite lokomotywy.

Katastrofa kolejowa pod Dunajowem.

Tegoroczne lato odznacza się tem, że mało mamy ciepła, trochę zaś zawiele deszczów, które w niektórych okolicach, zwłaszcza zaś w Galicyi wschodniej, stały się przyczyną katastrof.

Pociąg osobowy Nr. 5413, który w dniu 27-go czerwca wyszedł ze Lwowa do Podhajec, wykoleił się o godzinie dziewiątej wieczorem między Białem i Dunajowem skutkiem podmycia toru kolejowego przez ulewne deszcze. Pierwsza lokomotywa przejechała szczęśliwie przez wyrwę, druga ugrzęzła w niej wraz z tendrem. Idący za lokomotywą wóz pakunkowy z powodu tej gwałtownej zapory wypadł z szyn i stanął w poprzek na torze, drugi zaś wóz osobowy spiętrzył się i podniósł w górę tak wysoko, iż przeciął druty telegraficzne.

Maszynista i palacz drugiej lokomotywy zginęli na miejscu, dziesięciu podróżnych doznało mniej lub więcej poważnych obrażeń i kontuzyi.

Według opowiadania naocznego świadka, jadącego we wozie, który najbardziej ucierpiał, podróżni mieli się właśnie ułożyć na spoczynek, gdy rozległ się straszny huk i łomot. Zgasły wszystkie światła, podróżni znaleźli się na podłodze wagonu i odnieśli wrażenie, że wóz leci w przepaść i lada chwila rozbije się na drzazgi...

Cisza i ciemność potęgowały grozę położenia, z uszkodzonej lokomotywy poczęły się dobywać kłęby pary i otoczyły wszystko gęstą chmurą, ze zniszczonych przewodów uchodził z sykiem gaz... W obawie eksplozyi nie można było zapalić zapałki.

Informator nasz po omacku przedostał się ku oknu, wybił je łokciem i przeskoczył, obawiając się, że wóz runie lada chwila z nasypu...

Przy świetle latarek roztoczył się przejmujący widok. Wśród gruzów i zwalisk rozbitego wagonu leżały koło lokomotywy dwa trupy, maszynisty i palacza. Maszynista trzymał się kurczowo regulatora, palacz ściskał w ręku konewkę. Ciała obu oparzone były przez wydobywającą się parę...



Katastrofa kolejowa pod Dunajowem: Szczątki pociągu po katastrofie.

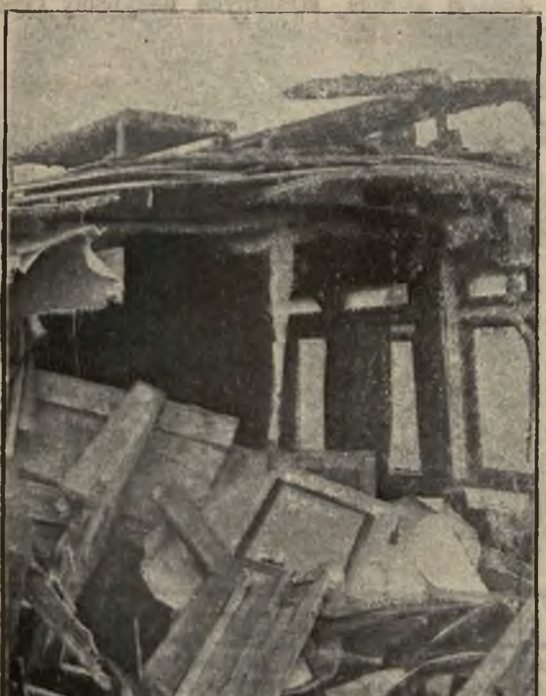
Wycieczka górnicza.

(Do illustracyi na str. 10).

Wieliczka, ten prawdziwy klejnot korony polskiej, posiada także szkołę górniczą, pozostającą pod kierownictwem inżyniera Piestraka. Ma ona za zadanie przygotowanie całego zastępu górników, którzyby mogli pracować w tej, coraz pomyślniej rozwijającej się gałęzi naszego przemysłu krajowego.

Prócz teoretycznego wykształcenia otrzymują wychowankowie i praktyczne, a jednym z dzielnych środków pedagogicznych są peryodyczne wycieczki do bliższych i dalszych kopalń, których nie brak w Zagłębiu krakowskiem i sąsiadującemi z niem, dąbrowskiem i śląskiem.

Tego rodzaju wycieczkę naukową urządziła młodzież szkoły wielickiej pod kierunkiem swego dyrektora, p. Piestraka, do Sosnowca w Królestwie Polskiem, gdzie zwiedzono dokładnie kopalnię węgla „Saturn" i jej postępowe urządzenia.



Katastrofa kolejowa pod Dunajowem: Zdruzgotany wagon.



Jubileusz „Bratniej Pomocy" we Lwowie: Obecny wydział „Bratniej Pomocy" Politechniki.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Kronika tygodniowa.

Niech mnie szlag trafi — przepraszam za wyrażenie piątokuryalne — jeśli dotąd wiem, kto jest najgodniejszym, aby obdarzyć go mandatem sejmowym z Krakowa!

Od tygodnia czytam i czytam gazety z taką pilnością, że nie jem, nie piję, nie mam nawet czasu na przespanie się, gonię po zgromadzeniach męskich żeńskich i nijakich, słucham mów kandydackich, a rezultat z tego taki, iż postanowiłem wstrzymać się od głosowania, zwłaszcza, że nie jestem do niego uprawniony. Jest to krzywda, wołająca o pomstę do nieba, każdy kronikarz, choćby nawet nie opłacał podatku, powinien mieć prawo głosu, tak do parlamentu, jak i do sejmu oraz rady gminnej.

Jak dziś rzeczy stoją (piszę te słowa we wtorek, dnia pierwszego lipca), mamy całe zatrzęsienie kandydatów, rozmieszczonych na kilku listach, choć częściowo zgadzających się ze sobą, a tu już trzeciego, więc w dniu, w którym Szanowni Czytelnicy otrzymają „Nowości illustrowane“, czterech posłów ma wyleźć z urny wyborczej.

Odnowiono ją zupełnie i pomalowano na zielony kolor, który, jak wiadomo, jest symbolem nadziei.

Właściwie mamy dwie oficyalne listy kandydackie, jedną kompromisową demokratyczną, drugą endecką.

Na pierwszej z nich figurują pp. Leo, Bandrowski, Federowicz i Srokowski, na drugiej Stroński, Piwocki, Drobniak i Bujak.

Pierwsza z nich o tyle może uledz modyfikacyi, iż niewiasty kreślą nazwisko p. Federowicza, wysuwają zaś towarzysza Ignacego.

Smokowscy, czyli Kosobucczyki stawiają swego kandydata w osobie p. Gramatyki i spodziewają się, że wszyscy profesorowie i nauczyciele oddadzą mu swe głosy, jako iż oni mają ciągle z gramatyką do czynienia.

Kandydatura owa nie ma szans powodzenia, tak samo jak i lista endecka, popierana w Krakowie tylko przez „Głos Narodu“.

Agitacya na ogół jest, jak dotąd przynajmniej, bardzo słaba, hyeny operują wprawdzie, ale chyba nocami, gdyż w dzień rzadko je można spotkać, kiełbasa wyborcza nie odchodzi tak, jak po inne lata. Pogodzono się z losem i przyjęto do wiadomości kandydatów, których zamianowała wszechwładna spółka demokratyczna, stowarzyszenie z nieograniczoną poręką.

To jedno mi się podoba, iż przecież raz rozruszały się niewiasty i wezwały przed swe oblicze kandydatów, żądając, aby puścili farbę... Posłuszni wezwaniu stanęli i oświadczyli, że są zdeklarowanymi zwolennikami reformy wyborczej i to takiej, któraby przyznawała i kobietom pełne prawa obywatelskie.

Profesor Stroński miał się wyrazić, iż w programie jego leży rozszerzenie kobiet w sposób równy, tajny, powszechny i bezpośredni... rzecz prosta, że miał na myśli prawo wyborcze, a nic innego.

To podobało się niewiastom, obiecały też popierać kandydatów uznających ich autorytet i otworzyły cztery biura agitacyjne w różnych stronach miasta.

Na tem znów najgorzej wyjdą małżonkowie, do czwartku włącznie nie otrzymają bowiem na czas obiadu, skoro pani domu, zamiast zająć się kuchnią, bawi się we wybory!

Dla humorystów otwarło się także pole do popisu. Na koszt miejskich i zamiejskich kandydatów robi się różne dowcipy, które kursują po mieście od handelku do handelku, jednych bawiąc, innym krew psując.

Ot, nie dawniej, jak onegdaj, idę sobie w stronę cmentarza miejskiego, aby oddać ostatnią posługę jednemu ze znajomych, który, nie czekając na rezultat wyb...w, przeniósł się do wieczności i widzę, w tą samą stronę zmierza dorożką jeden z kandydatów. Wyrażam więc zdziwienie, skąd on się tu wziął i dokąd zmierza, a mój towarzysz na to:

— Jakto, dokąd zmierza?... A dokądżeby, jak nie na cmentarz? Przecież musi się porozumieć ze zarządem cmentarnym w sprawie udziału nieboszczyków w akcie wyborczym!

Albo drugi „witz“ wyborczy.

Jednego z obywateli mojżeszowego wyznania zapytują się, na kogo odda swe głosy.

— Nu... Ja głosuję na pana Federowicza — odpowiada.

— Dobrze, to jeden głos! — rzecze interpelant. — Pozostaje jeszcze trzech kandydatów!

— Panie! Pan Federowicz wystarczy za wszystkich czterech! — odpowiada i idzie spokojnie dalej.

Jedno mnie tylko dziwi, mianowicie, że na liście owej kompromisowej, na której jedno miejsce zastrzeżone było podobno dla przedstawiciela rękodzieła, absolutnie żadnego rękodzielnika dostrzedz nie mogę... Chyba, że mam krótki wzrok... Zdaje mi się jednak, że ani pan Leo, ani Bandrowski, ani Srokowski, ani Federowicz rękodzielnikami nie są i nie byli.

Także i druga rzecz niebardzo mi się podoba. Do poniedziałku na dwanaście tysięcy uprawnionych do głosowania nie doręczono nawet trzeciej części legitymacyi i kart wyborczych, trudno się więc spodziewać, aby udało się to przez dwa, ewentualnie trzy dni. Moc ich pozostanie niedoręczonych i później, przy samym końcu głosowania, w godzinie duchów, będą miały za zadanie przechylić szalę zwycięstwa na tę, lub ową stronę.

O ile nadchodzą wieści z prowincyi, potwierdzają ciągle moją uwagę, zamieszczoną w poprzedniej kronice, mianowicie, że według źródeł endeckich ludowcy będą pobici w sromotny sposób, w najlepszym zaś razie utracą kilka z dotychczasowych mandatów, pisma zaś, oddane ludowcom, utrzymują, że endecya i Związek chrześcijańsko-społeczny zrobią generalną klapę.

To jedno pewne, że Rusini we wschodniej Galicyi zdobędą kilka pozycyi więcej, zaginają też parol na okręgi w Galicyi środkowej. I kto wie, czy im się nie uda, boć, gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta. Tymi zaś bijącymi się są z jednej strony konserwatyści z partyą postępową, w łonie tej ostatniej zaś wre walka na noże pomiędzy ludowcami a endekami.

A to właśnie woda na młyn naszych wrogów narodowych. Do czasu siedzą cicho, aby potem energicznie zabrać się do dzieła i wyzyskać sytuacyę.

My zaś nie potrafimy bodaj na chwilę zapomnieć o tem, że szkodzimy sami sobie.

Na dowód nie trzeba było wcale długo czekać. Mamy go w wyniku wyborów sejmowych z kuryi wiejskiej. W ubiegłej sesyi na 74 posłów było mandatów polskich 52, ruskich 22, obecnie układ narodowościowy w tej kuryi zmienił się zupełnie. Zyskaliśmy mandatów tylko czterdzieści, Rusini otrzymali ich 32, strata więc po naszej stronie wynosi okrągło dziesiątkę.

A gdzie szukać przyczyny? W wojnie, jaką prowadziły ze sobą polskie stronnictwa, w szczególności zaś ludowcy i koalicya endecko-klerykalna, która wyszła z imprezy obronną ręką, zdobyła bowiem aż dziewięć mandatów, przyczyniła się jednak do rozstrzelenia się polskich głosów i ułatwiła zwycięstwo Ukrainie.

Pierwszy akt komedyi wyborczej już skończony, do drugiego się przygotowujemy i uczymy odmiany nazwisk kandydatów z plakatów wyborczych, którymi oblepione są rogi ulic i placów.

Zaczyna się też zawzięta kampania dziennikarska, zgromadzenia odbywają się jedno po drugiem, woźni magistraccy, doręczający karty wyborcze, gonią po mieście, jak opętani...

Najciekawszym może epizodem z tej walki, poprzedzającej akt drugi, jest zgromadzenie przedwyborcze kupców żydowskich, jakie się odbyło w dniu 30 czerwca. Dokładne sprawozdanie czytamy w porannej wtorkowej „Reformie“, która cieszy się *votum ufności*, jakie tam otrzymała.

Na zgromadzenie przybyło wielu kupców, ale jeszcze więcej adwokatów.

Podniesiono, że żydzi tracą obecnie mandat sejmowy z powodu walk partyjnych, powinni też wobec tego głosować na takiego kandydata, któryby dawał gwarancyę, że stanie w obronie interesów żydowskich. Kwestyę zasadniczą stanowi bowiem to, by były bronione żydowskie interesy, a wszystko jedno, kto ich broni. Wszak mógłby wejść do sejmu taki żyd, który nie daje należytej gwarancyi, że postulaty żydowskie odpowiednio poprze.

Teraz dopiero następuje właściwa pochwała:

„Z pomiędzy ogłoszonych kandydatów — słowa „Nowej Reformy“, których z nabożeństwem powstawszy posłuchajcie — największą gwarancyę dla żydów przedstawiają kandydaci stronnictwa „Nowej Reformy“, szczególniej postawiony przez to stronnictwo z powodu opróżnienia mandatu, jaki spoczywał dotychczas w rękach dra Landaua. Za tym też kandydatem winni się żydzi oświadczyć i przy wyborach energicznie go popierać“.

Poruszono i inne kwestye, między innemi, że dotychczasowa ordynacya wyborcza była dla ludności żydowskiej w miastach krzywdzącą, żądano też zapewnienia jej takiej liczby mandatów, jaka odpowiada jej sile liczebnej i podatkowej.

Czy zgromadzenie zakończono okrzykiem *Hojch* i *Wywajt* na cześć opiekunów z pod znaku „Nowej Reformy“, tego nie wiem, tam bowiem nie byłem, urzędowy komunikat o tem nic nie wspomina.

„Nowa Reforma“ zdobyła więc w walce przedwyborczej ostrogi rycerskie i tytuł „obrońcy Palestyny“.

Nie ulega też kwestyi, że lista kandydatów skonsolidowanych demokratów krakowskich, w skład której wchodzą pp. Leo, Bandrowski, Federowicz i Srokowski przejdzie w całości, przewidują, co najwyżej, że może przyjść do ścisłego wyboru między Srokowskim i Daszyńskim, popieranym przez niewiasty.

Nawet i organ towarzyszy „Naprzód“ zabiera głos w sprawie wyborów i ogłasza *urbi et orbi*, że panu prezydentowi Leowi należy się stanowczo mandat z Krakowa, jako najgodniejszemu.

Spijmy więc spokojnie, losy reformy wyborczej spoczywają w pewnych rękach!

Wobec tych wszystkich historyi na drugi plan zeszła nowa wojna bałkańska, która wybuchła już *de facto* między Bułgarami z jednej, a Serbami i Grekami z drugiej strony.

Co nas to zresztą może obchodzić teraz, kiedy zbliża się sezon ogórkowy w całej pełni i połączony z nim wyjazd rodziny na świeże powietrze. Jako słomiany wdowiec odpocznie człowiek przynajmniej po kłopotach i dolegliwościach małżeńskiego żywota.

To tylko sęk, że brakuje pieniędzy na wyjazd, no i pogoda jest tak miła, że człowiek boi się nos na ulicę wystawić.

Powinniśmy teraz pocić się, gdyż nadchodzą dni kanikularne, zamiast tego marzniemy i mokniemy, a z różnych stron Galicyi nadchodzą wieści o katastrofach kolejowych, spowodowanych ulewami. Miłe lato, a jeszcze milsza perspektywa, zapowiadają nam bowiem meteorologowie, iż zbliża się już jesień, choć jeszcze lata właściwie nie było! Referent od pogody, który odkręca kurki deszczowe i puszcza wiatry, stanowczo nie dorósł do tego stanowiska, jakie zajmuje i prawdopodobnie dostał się na nie galicyjskim sposobem, przez protekcyę.

Wyobrażam sobie, jaki smutny los czeka dziennikarzy, jeśli wbrew przepowiedniom nadejdzie rzeczywiście prawdziwa kanikuła! O czem wówczas pisać, gdy wszystko używa wakacyjnych wywczasów?... Wszak dziś już, choć wre walka wyborcza, kłócą i biją się na Bałkanie, niektóre pisma krakowskie karmią swych czytelników tak zajmującą lekturą, jak n. p. „Cielę w mundurze komendanta straży pożarnej“.

Korespondent (z Białej) opisuje w pięćdziesięciu pięciu wierszach tragiczny wypadek, jaki zdarzył się w Rudzicy, w powiecie bielskim, gdzie w nocy włamano się do szafy, stojącej w sieni mieszkania naczelnika straży pożarnej i skradziono stamtąd mundur strażacki, toporek i hełm, resztę zaś garderoby pozostawiono nietkniętą.

To jednak jeszcze nic w porównaniu z tem, co dalej zaszło!...

Niewyśledzeni dotąd złoczyńcy uprowadzili także niewinne cielątko, będące własnością pana naczelnika, pozostawili je jednak w jego ogrodzie, przybrane w hełm, paradny mundur strażacki i toporek!

Sensacyjny artykuł, prawdziwie kanikularny, pomieszczono w pryncypalnem miejscu, bo już na drugiej stronicy, bojąc się widocznie, by nie uszedł uwadze czytelników.

Jednem słowem, strasznych dożyliśmy czasów!

Jubileusz „Bratniej Pomocy“ we Lwowie.

Życie akademickie na wyższych zakładach naukowych koncentruje się zazwyczaj w stowarzyszeniach akademickich. Mają one różne cele, zarówno kulturalne, jak i ekonomiczne. Najpoważniejszemi instytucyami, które pracują wśród młodzieży, są „Bratnie Pomoce“. Istnieją one zarówno na uniwersytetach, jak i na Politechnice, a celem ich jest utrzymanie tanich kuchni akademickich, sanatoryów, pomocy lekarskiej i finansowej.

Stowarzyszenia te istnieją po kilkadziesiąt lat.



Turniej tennisowy w Krakowie: Zwycięzcy: (od lewej ku prawej) Kleinadel z Warszawy (mistrzostwo Krakowa) Librowicz z Wiednia (mistrzostwo Galicyi) i Wołowski z Warszawy (I nagroda w podwójnej grze pań i panów).

Przed kilku dniami obchodziła „Bratnia Pomoc“ słuchaczów Politechniki lwowskiej jubileusz pięćdziesięcioletniego swego istnienia. Uroczystość tę połączono z poświęceniem kamienia węgielnego pod drugi dom dla techników. Aktu poświęcenia dokonał ks. arcybiskup Bilczewski. Przemawiało szereg mowców, podnosząc ważność dokonanego dzieła.

W południe w pięknie przystrojonej auli Politechniki zebrało się liczne grono gości, którzy przybyli, aby uczcić zasługi poważnej instytucyi. Pierwszy przemawiał prezes Rudzki, następnie zaś rektor politechniki, Hauswald, dyr. Tomicki, oraz przedstawiciele z Warszawy i Krakowa. Wkońcu odczytano stosy listów i telegramów.

Wieczorem odbył się raut, który zgromadził setki publiczności.

Illustracya nasza przedstawia grupę członków obecnego wydziału „Bratniej Pomocy“ i z przed 50 lat.



Pożegnanie profesora: Dr. Wilhelm Creizenach, ustępujący profesor Wszechnicy Jagiellońskiej.

Pożegnanie profesora.

Wszechnica Jagiellońska żegnała w tych dniach przechodzącego w stan spoczynku dra Wilhelma Creizenacha, profesora języka i literatury niemieckiej, czynnego członka krakowskiej Akademii Umiejętności.

Uroczystość pożegnalna odbyła się w sali dziekanatu wydziału filozoficznego, gdzie zgromadzili się koledzy zasłużonego profesora. Dziekan prof. Rozwadowski przemówił doń w gorących słowach, podnosząc jego pracę i zasługi dla Uniwersytetu, oraz przywiązanie do polskiej ziemi. Mowca wręczył następnie prof. Creizenachowi zbiorowy upominek od kolegów: obraz Fałata, przedstawiający widok Krakowa około bramy Floryańskiej.

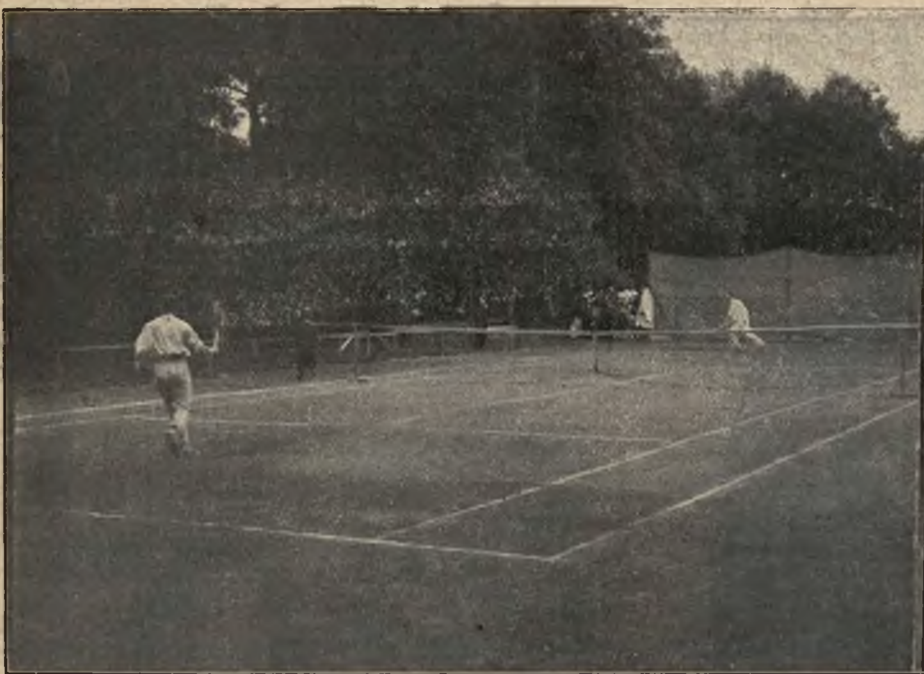
W dzisiejszym numerze zamieszczamy portret ustępującego profesora, który zarówno wśród kolegów, jak i słuchaczy zaskarbił sobie szczerą sympatyę.

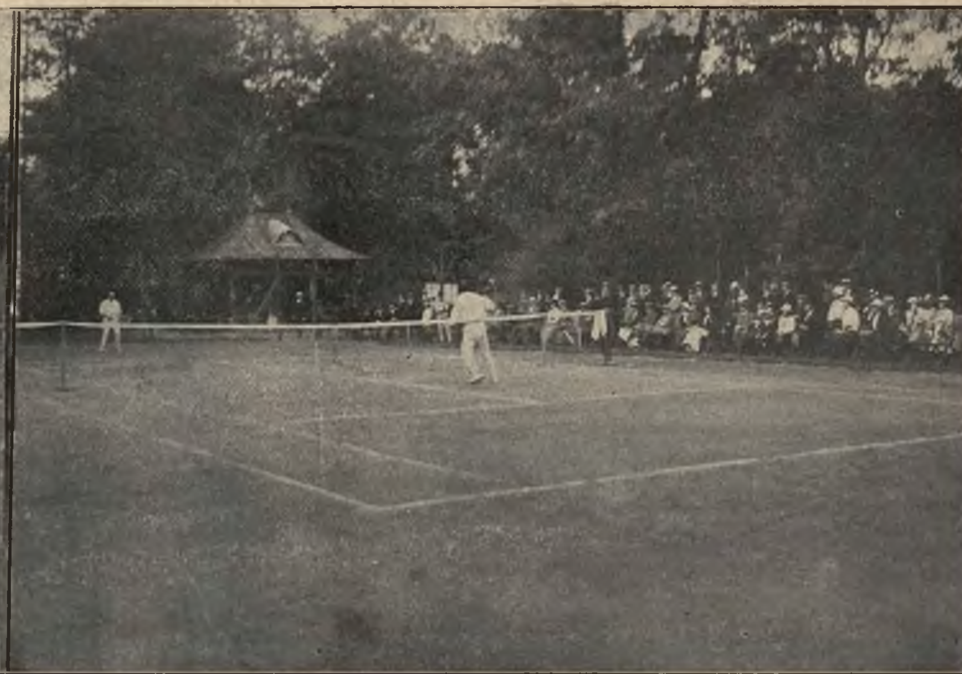


Turniej tennisowy w Krakowie: Nagrody. W głębi kierownicy turnieju pp. Jentys i Kobylański.



Turniej tennisowy w Krakowie: Grupa uczestników turnieju.





Turniej tennisowy w Krakowie: Przedstawiciel Czechów, p. Fuchs z Pragi, gra poza konkursem. Grze o „mistrzostwo“ przypatrywała się z zajęciem liczna publiczność.

Turniej tennisowy w Krakowie.

Przez kilka dni rozgrywał się w Krakowie wielki międzynarodowy turniej tennisowy. Brali w nim udział najlepsi gracze tennisowi z Pragi, Wiednia, Kopenhagi, Warszawy, Lwowa i t. d. razem kilkudziesięciu graczy, mężczyzn i kobiet. Turniej rozgrywał się na dwóch boiskach tennisowych w parku krakowskim.

Do rozegrania było kilkanaście wspaniałych nagród, między innymi piękne nagrody, ofiarowane przez p. Jurjewicza, hr. Raczyńskiego, bar. Götza Okocimskiego, radę m. Krakowa i t. d.

Ogólne wrażenie z turnieju było bardzo dodatnie. Jedynie pewne zamieszanie wprowadziło wystąpienie klubu wiedeńskiego przeciw Czechom, których reprezentował p. Fuchs z drugim kolegą. Klub wiedeński nie chciał grać z Czechami dlatego, że nie należą do austryackiego Związku. Sprawę załatwiono w ten sposób, że dla Czechów rozegrano osobne konkursy, na których otrzymali nagrody pp. Fuchs i Zemla z Pragi.

Illustracye nasze przedstawiają grupę uczestników turnieju i kilka zdjęć z przebiegu konkursu.



Polscy skauci w Anglii: Delegacya polskich skautów, udająca się na zlot do Birmingham.



Wycieczka rolników z Poznańskiego: Grupa uczestników wycieczki w Krakowie.

Polscy skauci w Anglii.

W tegorocznym zlocie skautowym, jaki się odbywa w Birmingham w Anglii, bierze po raz pierwszy udział delegacya galicyjskich organizacyi skautowych.



Z nowego państwa na Bałkanach: Essad basza w Tiranie. (Do art. na str. 8).

Uczestnicy zlotu, pochodzący z wschodniej Galicyi, zebrali się we Lwowie i stąd wyruszyli pod komendą druha Nowaka. Na dworcu odprowadziły ich lwowskie oddziały skautowe, a licznie zebrana publiczność wzięła serdeczny udział w pożegnaniu młodych harcerzy.

W Krakowie złączyli się ze skautami z innych miast galicyjskich, odbyli wspólne ćwiczenia, a następnie rozpoczęli dalszą drogę do Anglii, gdzie od 2 do 6 lipca będą uczestniczyć w zlocie skautów

angielskich, a w defiladzie przed królem angielskim wystąpią jako osobna grupa.

W niedzielę wieczór nastąpił odjazd z Krakowa. Wyjechało ogółem czterdziestu skautów pod dowództwem swych oficerów. Drużynę odprowadziła na dworzec kolejowy orkiestra sokola i tłumy publiczności. W skład jej wchodzi ośmiu skautów krakowskich, ośmiu lwowskich, reszta z innych miast galicyjskich. Na czele wycieczki stoi druh Małkowski. Do odjeżdżających przemówił serdecznie profesor Wyrobek, kierownik krakowskiej organizacyi skautowej, a orkiestra odegrała pieśni narodowe.

Drużyna przedstawia się bardzo pięknie i dzielnie będzie reprezentowała nasz skauting na światowym zjeździe skautów w ich ojczyźnie.

Powrót nastąpi dnia 15 lipca, tylko jedna grupa, która wraca przez Francyę i Szwajcaryę pod kierunkiem druha Nowaka, przybędzie dopiero 21 lipca.

Wycieczka rolników z Poznańskiego.

Przez kilka dni bawiła w Krakowie i w Galicyi zachodniej wycieczka rolnicza z Ks. Poznańskiego, złożona z sześćdziesięciu osób, w ten czterdziestu włościan. Przewodniczył wycieczce wicepatron Kółek rolniczych, redaktor „Poradnika Gospodarskiego“ p. Bronsford. Gości podejmowali w Krakowie członkowie komitetu c. k. Towarzystwa rolniczego, z redaktorem tygodnika rolniczego, p. Jasińskim na czele.

Wielkopolanie zwiedzili najpierw Kraków, następnie gospodarstwa rolne w Krzeszowicach, Mydlnikach, Łoniowej oraz browar w Okocimiu. Również zjechali do salin w Wieliczce.

Przybyli oni do Galicyi z pewnemi uprzedzeniami co do sposobu tutejszej gospodarki rolnej. Tymczasem zastali gospodarstwa wzorowe, tak, iż ze zdumieniem o nich się wyrażali. Galicya jako kraj na wskróś rolniczy na tem polu więcej, niż na innych, zrobiła dla podniesienia gospodarstwa rolnego.

Wycieczka zwiedziwszy wszystkie gospodarstwa, objęte programem wycieczki, podejmowana była uroczyście przez Tow. rolnicze i gminę m. Krakowa. Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników wycieczki podczas ich pobytu w Krakowie.



Z pracy oświatowej wśród ludu: Wykład z zakresu weterynaryi na kursie rolniczym w Dębicy.



Oblężenie bandytów: Zwłoki bandytów Wilka, Czyża i Oczkowskiego, zastrzelonych w kryjówce pod Dąbrową w Królestwie Polskiem.

Z pracy oświatowej wśród ludu.

Obok Kółek rolniczych i innych instytucyi, zajmujących się specyalnie szerzeniem wiedzy fachowej wśród drobnych rolników, także i Tow. szkoły ludowej zajmuje się urządzaniem wykładów rolniczych dla włościan. W tych dniach właśnie odbył się w Dębicy trzydniowy kurs gospodarski, urządzony staraniem miejscowego Koła T. S. L. W kursie tym, który powiódł się znakomicie, wzięło udział przeszło 500 słuchaczy, mimo, że roboty polne nie są jeszcze ukończone.

Zgromadzonych powitał marszałek powiatu hr. Tomasz Romer i przew. Koła dr. Kottas, poczem rozpoczęły się wykłady z różnych gałęzi gospodarstwa. Największe zainteresowanie wzbudził wykład p. Jasińskiego z Krakowa „O rolniczej organizacyi handlu bydłem i trzodą chlewną“, tudzież p. Kachnikiewicza „O pomocy w nagłych wypadkach u żywego inwentarza“.

Ten ostatni wykład przedstawia zamieszczona illustracya.

Dalszym ciągiem tej pracy nad rozszerzaniem wiedzy rolniczej wśród ludu będzie „wiec rolniczy“, który dębickie Koło T. S. L. przygotowuje w najbliższym czasie.

Oblężenie bandytów.

Królestwo Polskie zalała znowu powracająca fala wzmagającego się wciąż bandytyzmu. W ostatnich czasach dokonano całego szeregu zuchwałych napadów, przyczem z bandytami musiano stoczyć formalne bitwy.

Ostatnie walki z bandytami rozegrały się przed kilku dniami pod Dąbrową. Ścigani przez policyę, bandyci zatarasowali się w domu w miejscowości zwanej „Chacharówka“. Dom został otoczony przez wojsko i policyę, lecz bandyci zaczęli bronić się bardzo energicznie. Każdy z nich miał browning i mauser oraz setki nabojów.

Na wszelkie wezwania do poddania się bandyci odpowiadali kulami. Przypuszczają, że padło około 1000 strzałów. Wreszcie o godzinie 3 po południu bandyci przestali strzelać. Oblegający wdarli się do domu, gdzie znaleźli zwłoki trzech bandytów.

Bandyci, oblęgani w „Chacharówce“, byli tylko odłamem większej bandy, która grasuje po Zagłębiu Dąbrowskiem.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25.

Zadanie literackie:

Orlęta.
Lukrecya Borgia.
Edward Kloc.
Całe życie biedna.
Hanka.
Ostatni piorun.
Westalka.
Święty ptak.
Król zamczyska.
Inwalidzi.

Zagadka: Mazowsze.

Zadanie do przestawienia: Poznać głupiego po śmiechu jego.

Bilety wizytowe: Costarica. San Jose; Syrya, Damaszek; Belgia, Antwerpia; Belgia, Gandawa.

Anagram: Arka, kara, arak, Akra.

Logogryf:

K	r	e	s
R	y	d	z
E	z	a	w
C	i	s	a
H	e	r	b
O	p	a	l
W	a	z	a
I	r	m	a
E	t	n	a
C	e	c	h
K	a	r	k
I	k	a	r

Rebus: Gdy zbrodnia bezkarnie broić zamyśla, pokrywa się maską cnoty.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Radoszewski Tarnobrzeg, J. Jakubowska Kraków, D. Sedyńska Zakopane, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Warszawa, W. Ostrowski Warszawa, J. Wilczkiewicz Sambor, K. Fuchs Czeremchów, J Kopczyńska Bierzanów, S. Bukowski Równo, J. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, H. Maciejowska Winnica. L. Kwaśniewski Piotrków, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło, Cz. Lipiński Zakopane, I. Brzostowski Krosno, M. Lisowska Sambor, J. Łopatkiewicz Sambor, M. Wojkowski Tarnopol, J. Nowacki Śniatyn, J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło K. Reichenberg Cieszyn, D. Gross Sanok, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blätterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, M. Wędrychowska Sanok. E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S. Kamocki Jasło, H. Ungar Lwów, R. Linderski Siemiechów, D. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, J. Wilkosz Rzeszów, S. Sygnarska Tarnów, F. Frankowicz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Broda Tarnów, M. Antosz Sanok, K. Gliński Kołomyja, S. Balicki Lwów, C. Wang Rzeszów, J. Lipowski Lwów, M. Wańkowicz Mińsk, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, A. Biliński Tarnopol, M. Więckowska Łódź, J. Krawecki Bochnia, H. Łapińska Kraków, J. Waligórski Lwów, R. Sadowski Kraków, K. Szumańska Rawa Ruska, M. Arbesbauer Lwów, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Rzeszów, W. Rachwalski Bochnia, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, F. Horak Oświęcim, M. Domagalska Kraków, W. Raczyńska Sanok, H. Figiel Sanok, M. Kobyłecka Stanisławów, M. Kozicka Lwów, J. Bałuk Kraków, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K. Zegartowska Bogucice J. Wolny Warszawa, S. Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, S. Rogalski Tarnów, H. Radziński Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Kobyłecka Stanisławów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. A. M. Lwów: Otrzymaliśmy rozwiązanie w dniu, w którym nazwiska rozwiązujących były już wydrukowane.

WP. K. S. Lwów: Nie nadaje się do druku.

Ze świata kobiecego.

Zdobycze mody.

Lato w całej pełni roztoczyło w modzie swą krasę. Słoneczne promienie, palące delikatne karczki i płeć pań, wymagają osłony, a tę dostarczają różne modne parasolki. Fason ich nie zmienił się wiele. Modne długie rączki z długimi kijkami zaopatrzone są w piękne plecione przewiązki, które służą do trzymania. Obok kryształów i emalii zaczynają rączki wyrabiać także ze złota lub srebra złoconego, w filigranowem wykonaniu. Na pokrycia parasolek używane są znowu materye szkockie o wielkich kratach,



Suknia letnia, przybrana wstążką i haftem.

zapewne dlatego, że wogóle te materye zaczynają sobie zyskiwać znowu zwolenniczki. Mniejsze parasolki pokrywa się także muślinem lub płótnem, brzegi ich zaś zdobią riuszki z puszku lub marabu.

W dziedzinie torebek zaszły również pewne zmiany. Przez sezon wiosenny torebki były jakby zapomniane. Teraz znowu stają się bardziej noszone. Skóra ustąpiła jednak miejsca materyom, zwłaszcza ciężkim, o ciemnych kolorach, które zdobi się wyszyciami z szarego jedwabiu lub też ciemnych pereł. Również bardzo poszukiwane są torebki zdobne haftami z nici, imitujących metalowe sznureczki, o ładnych metalowych tonach. Oprawa jest przeważnie z ciemnej stali, a obszycie stanowią ciemne, długie sznury. Format utrzymuje się w średniej wielkości. Torebki są raczej dłuższe, niż szersze i kończą się często od dołu śpiczasto; wtedy są u dołu ozdobione długim kutasikiem.

Bardzo często torebki są robione z tej samej materyi lub w każdym razie w tym samym kolorze, co suknie, tak, że możnaby nawet powiedzieć, iż wielkie elegantki mają tyle torebek, w ilu kolorach suknie noszą.

Obecna moda wywarła także wybitny wpływ na paski, zmieniając zupełnie ich wygląd. Jeszcze na wiosnę modne były paski o formie dawniejszej, ale możliwie małe, nie zwracające uwagi, utrzymane często w kolorze sukni, tak, iż właśnie od niej się nie odróżniały. Nawet nie miały spięć bogatych, któreby się rzucały w oczy. Obecnie zaś paski w ścisłem słowa znaczeniu, musiały ustąpić wobec szarf i przewiązek. Są one szerokie, w kolorze silnie odbijającym od sukni, otaczają kibić kilkakrotnie, kończąc się zazwyczaj z przodu bogatym węzłem. Spięte są tylko haftkami, zręcznie ukrytemi w rozetach z materyi. Klamry, które dawniej były główną ozdobą pasków, obecnie zupełnie znikły. Materya, z której szarfy te są robione, jest wzorzysta, bądź o deseniach bułgarskich, bądź też japońskich. Bardziej noszone są nawet wzory japońskie, gdyż desenie ich są bardziej wyraziste i dobrze odbijają przy sukni. Szarfy są wiązane bądź z tyłu na kokardy, bądź też z przodu, a raczej z boku ku przodowi, na duży węzeł lub rozetę i spadające końce zakończone są przeważnie długą frendzlę. Modne są nawet szarfy bardzo szerokie, na sposób wschodni, które opinają suknię w biodrach, z przodu ujęte w węzeł.

W dziedzinie sukien należy zanotować rzecz bardzo ciekawą. Mianowicie wraca znowu, usilnie propagowana moda r. 1830. Najnowsze pomysły fasonów sukien mają silne tendencye w kierunku sukien Biedermeierowskich. Co za tem idzie także i fryzury zaczynają się zmieniać, a znawcy przepowiadają, że jesień przyniesie nam modę fryzur, zupełnie na biało pudrowanych.



Suknie z paryskich wyścigów, przybrane tiunikami i riuszami.

Bluzki najrozmaitszych fasonów i krojów rozwielmożniły się na dobre. Mamy więc bluzki z riuszek, z żabotami, z woalu lub *crepe.* Wszystkie są bez kołnierzy, z wycięciem dosyć głębokiem z przodu. Często wokoło wycięcia ozdobę stanowi piękne *plissee* i przechodzi aż do pasa, gdzie zachodzi jedno na drugie. Także wykończenie rękawów stanowi często ładna, plisowana riusza. Bardzo chętnie noszone są bluzki z miękkim kołnierzem wykładanym i jedwabnymi wypustkami. Na pierwszem miejscu jednak są w Paryżu bluzki żabotowe. Paryżanki bowiem wybrały sobie jako specyalność nowego sezonu riusze, które stosuje się nawet jako przybrania do kapeluszy. Jako najbardziej szykowne uważane są kapelusze białe, których główka przybrana jest lekką riuszą tiulową lub z *chiffonu,* którą zakończa jedwabna lub aksamitna kokarda albo przewiązka. Zamiast riuszy używaną jest często opaska z piór, z stojącem z tyłu fantastycznem upięciem.



Suknia letnia, przybrana koronkową tiuniką i wstążką.

Wogóle kapelusze na sezon letni utrzymały się tak małe, że część fryzury jest z pod nich widoczna.

Bardzo oryginalnemi są nowe buciki, które w Paryżu zyskały uznanie. Są to pantofelki, zrobione jednak nie ze skóry, ale z materyi o fantazyjnym deseniu. Zdobne one są srebrną wstążką i mają sznurowanie, idące dosyć wysoko, z szerokiej wstążki. Pantofelki skórzane noszone są w kolorach ciemnoniebieskim i ciemno-fioletowym, z przodu łapka i obszycie jest białe oraz ozdobione kamieniami lub taftą. Również nowością są półbuciki z obkładem z łusek z masy perłowej.

W.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

3

— Dyabli by nadali — zaklął Gewolski...

— Czy to od świętej Anny przynieśli nocą tego draba?

— Tak, zdaje mi się — odpowiedział doktor, dzwoniąc zębami.

— Niema się czem tak przejmować, mistrzu — pocieszał służący. — Nie pierwszy to raz żywego człowieka pakują w cztery deski. Co panu może zależeć na takim waryacie!

— — — — — — — — — — — — — — —

Waryat!...

Czy człowiek ten był waryatem kilka godzin temu? Jakiej strasznej pomyłki byli winni ci fatalni pośrednicy, którzy w lojalny dotąd sposób postępowali z nim i dostarczali mu zawsze świeżych trupów na stół sekcyjny. A przecież działał z taką rozwagą i ostrożnością.

Wszakże doskonale rozpoznał tego niebezpiecznego wroga swojego, Piotra Lebonnier, na dworcu św. Łazarza, jego to wskazał naczelnikowi służącej mu szajki i kazał za wysokiem wynagrodzeniem dostawić sobie do laboratoryum. Rozkaz jego szybko wykonano, tylko, że oto leżący na podłodze zemdlony człowiek, pomimo łudzącego podobieństwa, nie był prawdziwym Piotrem Lebonnier, nie miał na piersi znamiennej, a pamiętnej mu blizny! Tymczasem waryat ocucił się z omdlenia i zaczął się śmiać głośno. Najwidoczniej ci dwaj ludzie obawiali się go! Nie poruszali się, przypatrując mu się błędnemi oczyma.

— Ależ to sen! to sen oczywisty! — wymówił łagodnie, podnosząc ręce do czoła.

Gewolski i Antoni postąpili równocześnie krok ku niemu. Człowiek przez chwilę obejmował pytającem spojrzeniem otaczające go sprzęty i krzyk przerażający wydarł się z jego piersi.

— Ah! szatan! Strzeżcie się jednak! Jeden z was poczuł już siłę mojej pięści!

Doktor ze swoim pomocnikiem stali już tuż za nim, gotowi uchwycić go przy pierwszem jego poruszeniu.

— Gdzież jestem? — jęczał teraz nieszczęśliwy, ukrywając twarz w dłonie. — Moja żona! moje córki! Odezwijcie się przez litość, bo oszaleję!

Bo oszaleję!

Czy słowa te nie były dla Gewolskiego znakiem wybawczym? Jednakże w tej chwili człowiek ten nie wyglądał na waryata. Zwrócił wybladłe spojrzenie na doktora i błagał cicho.

— Czego wy chcecie odemnie? Co wam uczyniłem. Pozwólcie mi stąd odejść! Oh! ten straszny ciężar na głowie... ciemność głęboka i ci... szatani.

Oczy jego w jednej chwili zabłysły gorączkowym ogniem, chciał się podnieść, bronił rękami i nogami jakgdyby od jakiejś niewidzialnej napaści i tarzając się po ziemi z wściekłością, przewracał stoliki, tłukł sprzęty.

Antoni poskoczył, chcąc go w pół uchwycić, lecz zanim się spostrzegł, człowiek trzymał już w ręce duży nóż chirurgiczny.

— Ah! do kroćset! — zawołał Antoni. — Pozwólże mi, mistrzu, załatwić się z nim po mojemu! Jesteśmy w prawie bronić swojego życia!

— Głupcze! — syknął Gewolski, chwytając go za rękę i oczami nakazując milczenie.

Stał jednak chwilę jakgdyby niepewny; bronić się przed napaścią miał prawo, ale mordować nie chciał. Nie chciał również ze służącego swojego, w gruncie uczciwego i przywiązanego do siebie chłopaka, czynić wspólnika zbrodni. Przed ostateczną, brutalną zbrodnią miał wstręt nieprzełamany, a zresztą, czyż dla jednego, nierozważnego kroku, miał tracić to wszystko, co zdobył sobie przez tyle lat pracy i energii? Wobec socyalnych ustaw był teraz czysty. Na wagę złota skupował co prawda w tajemnicy trupy szpitalne, lecz czyn ten karygodny nie był. Czynił to dla nauki i dobra ludzkości...

Otóż teraz przez przypadek fatalny dostarczono mu waryata, pogrążonego w śnie kataleptycznym. Ale życie tego waryata należało zachować.

Jedynym teraz obowiązkiem sławnego lekarza Gewolskiego było zatrzymać tego nieszczęśliwego i leczyć go.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz doktora.

— Antoni! Potrzebny mi jest kaftan bezpieczeństwa.

— Może coś podobnego znajdę? Mam sznury i tę płachtę, w której go przynieśli.

Zadanie nie było łatwe, bo waryat rzucał się na wszystkie strony, krzycząc przeraźliwie.

— Nie damy mu rady mistrzu! Trzebaby ze sześciu ludzi do niego. Ale ja mam tu coś, co go uspokoi!

Z pułeczki, znajdującej się niedaleko stołu, chciał pochwycić flaszeczkę z chloroformem. Lecz ruch ten zauważył już waryat!

W chwili, gdy służący stał zwrócony plecami do pokoju — uzbroiwszy się w nóż, który zdołano mu wyrwać z ręki przed rozpoczęciem walki — poskoczył, gotując się do uderzenia.

Antoniego przeszedł dreszcz śmiertelnego lęku. Konwulsyjnym ruchem uchwycił się jedną ręką pułki, przewracając równocześnie i tłukąc poustawiane na niej flaszeczki. Ostra woń chloroformu napełniła powietrze, odbierając na chwilę przytomność wszystkim obecnym, ale w różnym stopniu.

Gewolski, najwięcej oddalony od miejsca wypadku, oszołomiony wsparł się o ścianę. Antoni zaś, znajdujący się najbliżej okna, miał na tyle siły, by pchnąć ramę rozpaczliwym wysiłkiem. Prąd świeżego powietrza wtargnął do pokoju. Już teraz jemu i doktorowi nie groziło niebezpieczeństwo, podczas gdy waryat, nieprzytomny, bez najmniejszego śladu życia, leżał pośród szczątków rozbitego flakonu.

— Zamknij natychmiast okno — rozkazał Gewolski. — Czy chcesz koniecznie sprowadzić tu kogoś?

Służący usłuchał, poczem pochylił się nad leżącym i przypatrywał mu się z uwagą.

— Wszystko w porządku — oznajmił. — Zdaje się, że sam los pragnie go od nas uwolnić. Nie mogło się lepiej złożyć. Niechno mistrz zobaczy, czy długo jeszcze dychać będzie.

Doktor przyłożył ucho do piersi zemdlonego i nadsłuchiwał chciwie. Twarz jego skurczyła się z wyrazem niezadowolenia, ucho jego bowiem pochwyciło kilka lekkich, nierównych uderzeń. Chory żył jeszcze!... I oto nagle nowa komplikacya wyłaniała się, by do reszty zachwiać spokojem doktora. Najniespodziewaniej rozległ się donośny dzwonek telefonu.

Pierwszą jego myślą było kazać odtelefonować Antoniemu, że go niema, ale myśl tę uznał za niebezpieczną. W tej tak strasznej i niepewnej sytuacyi kłamstwo mogło się okazać zgubne w skutkach. Przeciwnie! Należało odpowiedzieć i to w sposób najnaturalniejszy, jak gdyby nic anormalnego z nim się nie działo.

— Odpowiedz Antoni — rozkazał — odpowiedz. A właściwie zapytaj, kto mówi?

Dzwonek telefonu jęczał nieprzerwanie i niecierpliwie. Jednak Antoni opóźniał się z podejściem do aparatu, albowiem w niespokojnem spojrzeniu swojego pana wyczytał myśl nową.

— Poczekaj! ja sam się rozmówię — wyrzekł wkońcu Gewolski.

— Kto tam? — zapytał ostro. — Jestem zajęty, przy pracy!

— To ja, ojcze, wybacz mi.

— O cóż to chodzi?

— Nie o mnie, bo bym się nie ośmielił niepokoić cię... Twoja przyjaciółka, księżniczka, telefonowała przed chwilą.

— Ah! — szepnął Gewolski zduszonym głosem. Księżna tak wcześnie pragnie od niego wiadomości! W tem coś jest!

— Odpowiedziałem jej — mówił dalej Stanisław — że pracujesz w swojem laboratoryum.

— Nie dałeś jej przynajmniej numeru telefonu?

— Nie, ojcze, nie pytała się, zresztą wiem, że chcesz go zachować w tajemnicy.

— No i cóż ci mówiła księżna?

Lecz zaledwie wymówił te słowa, zadrżał, przypomniawszy sobie teraz dopiero, że rozmowa jego z synem miała świadków. Zwrócił się więc do pokoju, lecz Antoniego już nie było, zanadto dobrze wytresowany służący oddalił się dyskretnie. Chory zaś leżał w tej samej pozycyi, co przedtem, bez czucia i ruchu.

— Księżna mówiła, że ma ci coś bardzo ważnego do zakomunikowania i pragnie cię jak najspieszniej ujrzeć — brzmiała odpowiedź Stanisława.

— I to wszystko?

— Tak, tylko zauważyłem, że głos księżnej był bardzo wzruszony. Co mam jej odtelefonować?

W tej chwili szmer jakiś odwrócił uwagę doktora. Spojrzał za siebie i ujrzał waryata pochylonego naprzód, przysłuchującego się czemuś z uwagą i dobiegły go ledwie dosłyszalne słowa:

— Mówię wam, że ktoś dzwoni do bramy! Nie słyszycie, małe? To napewno pan Stanisław Gewolski.

Równocześnie dzwonek telefonu dźwięczał dalej. To Stanisław energicznie protestował przeciw przerwaniu komunikacyi.

Wtedy nieznajomy się zniecierpliwił.

— Nie słyszycie! Żono! dzieci! To śmieszne, kazać komuś tak czekać u bramy!

Doktora opanowało nagle uczucie, że wszystko wokoło niego zapada się w przepaść! A więc mało było, że się dopuścił tak głupiej pomyłki, która pociągnąć za sobą mogła zachwianie całej jego egzystencyi, sławy, majątku. Trzeba było jeszcze, aby człowiek, w tak straszny sposób skrzywdzony, nad którym wahał się jeszcze z wydaniem ostatecznego wyroku śmierci, był ojcem dziewczyny, wybranej przez jego syna.

A gdyby wkońcu zdecydował się na ten krok fatalny, mordercą, któregoby niewątpliwie poszukiwał Stanisław i odkrył, by pomścić krzywdę sieroty, byłby jego własny ojciec!

Jego syn! jedyne dobro jego życia, stanąłby mu na drodze jako wróg śmiertelny!

Waryat.

Stanisław w dalszym ciągu wzywał ojca do telefonu, a nieszczęśliwy, tarzający się po podłodze waryat niecierpliwił się głośno, dlaczego przyjacielowi jego, panu Stanisławowi Gewolskiemu, córki nie chcą otworzyć drzwi od ogrodu.

Wyprowadzony z równowagi Gewolski ostro odpowiedział synowi, że odwiedzi księżnę i prosi, aby go więcej nie niepokoić, poczem z trzaskiem zawiesił słuchawkę przy aparacie.

Na ten znak, że rozmowa już jest zakończona, wsunął się ostrożnie do pracowni Antoni i z rękami wyciągniętemi szedł prosto ku choremu.

Gewolski zamarł z przerażenia.

Jeżeli służący podchwyci znaczenie wyrazów, wymawianych przez niego?

Ale wyraz twarzy waryata zmienił się nagle; wydawał się być znudzonym! Uniósł ręce do głowy i wyszeptał:

— Mój Boże! jak tu zimno!

Potem powstał nagłym ruchem i powolnym, majestatycznym krokiem podszedł do stołu. Szerokim

gestem zarzucił na ramię fałdy niewidzialnego płaszcza, uczynił ruch, jak gdyby kłaniał się komuś i rzekł, uśmiechając się z zadowoleniem:

— Niech Wasza Wysokość się nie niepokoi! Jakżeby wielki Rubens nie wykonał dzieła przy pomocy tak wspaniałego modelu! Tak, panie kardynale, pragnę, aby dalsze prace, które u mnie zaczynacie zamawiać, godne były chwały szkoły flamandzkiej.

— Ależ ten porządnie zwaryował — zauważył Antoni.

Gewolskiemu już teraz wracała przytomność umysłu i jasność sądu. Nie był to nagły napad szału, spowodowany silnem wzburzeniem władz umysłowych. Człowiek, znajdujący się u niego, musiał już od pewnego czasu cierpieć na manię wielkości, a dziś pod wpływem silniejszych wzruszeń cierpienie to występowało silniej.

— Chciałbym, żeby panu było wiadomem, panie Robespierre — mówił dalej waryat, stanąwszy przed Gewolskim — że niegdyś pracowałem wspólnie z moim wielkim przyjacielem Dawidem. Z nim to zorganizowałem nowe muzeum w Luwrze. Dziś zaś otrzymałem pocztą prawdziwie Memlingi. Wiem, że w razie potrzeby kolega mój Van Dyck chętnie przybędzie dopomódz mi w pracy, teraz jednak zajęty jest malowaniem portretu Karola I. na dworze angielskim.

Gewolski z zaciekawieniem śledził bieg myśli nieszczęśliwego szaleńca.

Był on malarzem, a właściwie podrabiaczem starych obrazów. O tem już doktor wiedział, gdyż postarał się o dobre informacye co do rodziny, z którą łączyła syna jego tak ścisła przyjaźń. Umysł starego malarza, już dobrze nadwyrężony zbytniem używaniem alkoholu, otrzymał teraz cios decydujący. Widocznie podrabiał, a może nawet fabrykował obrazy mistrzów, o których wspominał i przez wybujałą fantazyę wczuwał się w postacie tych wielkości, ale obecnie przybierało to formy ostrej, chorobliwej manii.

— Otóż ten Memling, panie Robespierre, narobił mi najwięcej kłopotu — mówił coraz głośniej chory, giestykulując nerwowo. — Ośmielono mnie posądzić o kopie fotograficzne! A na ostatniej wystawie mojej w Narodowem Towarzystwie Sztuk Pięknych, czy nie musiałem zdrapywać farby z płótna, aby przekonać oszczerców, że się mylą, przekonać ich, z jaką prawdą i lojalnością artysty, pracuję. A zresztą — dodał z prostotą — wszyscy oskarżyciele moi zostali strąceni na dno piekła.

Gewolski zauważył, że kryzys szaleńca dobiega już do końca i ostatni gwałtowny napad szału jest nieunikniony. I rzeczywiście, chory wyprostował się nagle, oczy jego, poprzecinane krwawemi żyłami, rozwarły się nadmiernie, usta skręcił skurcz konwulsyjny, pięści zacisnęły gniewnie.

— Kto powiedział, że fałszuję stare obrazy — krzyknął wściekle. — Kto powiedział, że jestem fałszerzem napełniającym płótnami pałac Luvru! To jest fałsz! Nie posługiwałem się nigdy podrobionymi podpisami! To jest kłamstwo! Posądzać mnie, mnie, o fałszerstwo! Nikczemni! podli ludzie!

Rzucił się na Gewolskiego i Antoniego, krzycząc przeraźliwie, gryząc i kopiąc, broniąc się przeciw urojonym wrogom, wkońcu osłabiony wysiłkiem, runął całym ciężarem na podłogę.

— Teraz należy tylko czekać — rzekł Gewolski. — Ale przedtem zwiąż go. Jeżeliby się dziś obudził i krzyczał, dasz mu trochę chloroformu pod nos. Tylko nie zadużo. Pragnę naprawić tę zgubną pomyłkę.

— Ależ mistrzu, czy nie lepiej uczynić go całkiem nieszkodliwym? to przecież waryat! — zauważył służący.

— Nie mam prawa rozporządzać choćby życiem waryata — odparł doktor. — Nie można nigdy stanowczo twierdzić, czy nie odzyska kiedyś całej przytomności. Potrzebuję tylko dla uniknięcia pewnych nieprzyjemności, aby się nie obudził do jutra. Przez noc się namyślę, co dalej robić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.
Ułożył W. M.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda nazwisko polskiego powieściopisarza, pierwszy poziomy tytuł jego dzieła.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Forma rządu. 3. Urząd dworski. 4. Urząd w Polsce. 5. Rodzaj długości 6. Miasto w Galicyi. 7. Imię męskie. 8. Członek redakcyi. 9. Imię męskie.

Zadanie konikowe.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

	nie	go	
cze	dzi	ser	nie
cu	oko	żal	te
	go	wi	

Zadanie do przestawienia.
Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane, rymowane chłopskie przysłowie: D r o g a M a ń k o! C a c k o! D a s z k o t a? A d a ć i n ó ż? B a! T o m a g.

Zagadka.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Pierwsza-druga jest jedynym z polskich grodów,
Druga-pierwsza to plaga naszych ogrodów.

Łamigłówka.
Ułożył Jaś z Morgensternówki.

Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą to, co nas czeka w najbliższej przyszłości:

— ąż
— ak
— ar
— ko
— yk
— en
— on
— ka
— an
— wa
— an
— en
— ri

Zadanie do przestawienia.
Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: O s a p r z ę d z i e w d z b a n i e. L u d w l e j e m o j e.

Trójkąt magiczny.
Ułożył W. M.

Kwadraty i kreski zastąpione odpowiedniemi literami, utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko znanego polskiego muzyka.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Utwór muzyczny. 3. Nicość. 4. Barwik. 5. Strach 6. Dopływ Wisły. 7. Przyjaciel Mickiewicza. 8. Przyimek. 9. Samogłoska.
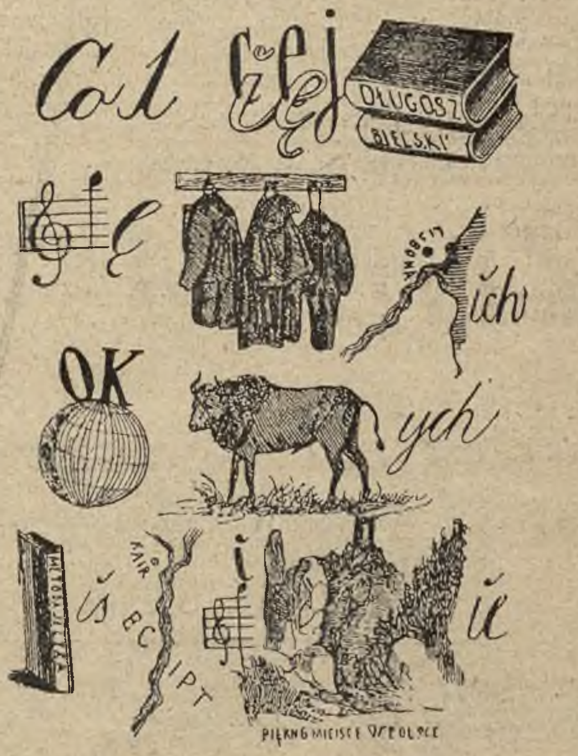
Szarada.
Ułożył W. M.

Pierwszą w kopalni każdej znajdziecie,
Drugą ma człowiek, zwierzę, znajdziesz i u ptaków,
Całość największą chcą dziś zyskać w świecie,
Na lądzie, morzu, wśród powietrznych szlaków.

Zadanie do przestawienia.
Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Ż y d z a ś E. C z a d z e ń z r o b i ł s p o d n i e i c z a p ę

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *L. Romockiego.* **Mazowsze.**

Pamiątki wojen tureckich.

Sławna obrona Wiednia przez króla Sobieskiego przed nawałą Turecką, przypomina się dzisiaj mimowoli, gdy patrzymy na losy państwa tureckiego, kurczącego się coraz bardziej w Europie. Owi mocarze, których zagony wojenne sięgały aż po stolicę Austryi, dzisiaj stali się karłami, niezdolnymi do obrony nawet własnej stolicy.



Z czasów pamiętnego oblężenia Wiednia pozostała tam pamiątka, droga naszym sercom, mianowicie kościółek polski na górze Kahlenberg pod Wiedniem. Wystawionym on jest na miejscu, skąd wojska polskie ujrzały obóz turecki i gdzie król Sobieski przygotowywał się do walnej rozprawy, słuchając Mszy św.

Kościółek ten od lat pozostaje w trwałej opiece Polaków. Ze wszystkich stron spieszą chętni, aby składać dary na utrzymanie i przyozdobienie kościoła.

Wzorem wielu innych także krakowski Zakład introligatorsko-galanteryjny **Roberta Jahody** złożył Kahlenbergowi ładną i cenną ofiarę. W pracowni tej, wykonano mianowicie wspaniałą księgę pamiątkową według projektu art. malarza Fabijańskiego, w której zwiedzający Kahlenberg goście zapisują swoje nazwiska i ofiary. Księga oprawna jest w pięknie tłoczoną skórę, tytułową zaś stronę zdobią piękne srebrne ornamenty, przedstawiające dwa tureckie buńczuki i herb.

Praca ta, która znalazła gorące uznanie znawców dała jeszcze raz dowód o pierwszorzędnej wartości **pracowni introligatorsko-galanteryjnej ROBERTA JAHODY w Krakowie, (przy ulicy Gołębiej L. 4).**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.